MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 25 WARSZAWA, 1 LISTOPADA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

To był pierwszy warunek: gdybyśmy nie posiadali ściśle określonego celu, do niczego byśmy nie doszli. Gdybyśmy nie wiedzieli, jaką Polskę trzeba zbudować, nikt by tego w Europie nie wiedział.

Dzięki temu, żeśmy byli dziećmi Polski nowoczesnej, uczącej się realnie patrzeć na swe położenie i na swe zadania, w wyborze dróg nie szukaliśmy tego, co malownicze, co może stworzyć dobry kawałek literatury, choćby nawet lichej, melodramatycznej, ale tego, co istotnie prowadzi do celu, bez względu na to, jak dla niewprawnych oczu wygląda.

Dzięki temu, że wydało nas pokolenie, dojrzewające w pracy i walce, nie zajmowaliśmy się oglądaniem swojej pozy w lustrach, ale na każdym kroku zastanawialiśmy się, jaki będzie skutek z tego, co robimy.

Jak polityka, która doprowadziła do zjednoczenia Polski w niezawisłem państwie, była przedewszystkiem wynikiem wewnętrznego przeobrażania się narodu.

Roman Dmowski

„Polityka polska i odbudowanie państwa", 1925, str. 494.

JAK DOSZŁO DO NIEPODLEGŁOŚCI

Pamięci Jana Popławskiego

ODRODZENIE państwowe Polski nie mogłoby nastąpić bez uprzedniego odrodzenia narodu w jego psychice. Z tego stanowiska patrząc na dzieje Polski od upadku państwa w w. XVIII, będziemy je widzieć jako proces nie tyle walki o niepodległość, ile jako proces rozwojowy dorabiania się duchowego do stanu niepodległości. Moglibyśmy byli przebyć ten okres dojrzewania na stopę nowożytną bez katastrofy, jak inne narody. Że ona przyszła, to dopust ciężkich warunków geograficznych, ułatwiających penetrację wewnętrzną sił obcych i *memento* na przyszłość; że minęła — to dowód, iż naród posiada swoje organiczne prawa rozwoju i jako podmiot dziejów może swoje objektywne warunki państwowe odrobić.

Aby naród mógł odszukać swoją myśl polityczną, stać się dla świata jej wcieleniem i zostać przez ten świat w prawach swej istności politycznej uznany, musiał przebyć wszystkie fazy psychicznej i moralnej odbudowy. Inaczej myśl polityczna byłaby tylko czyimś pomysłem przygodnym i nie starczyłaby za dowód, że z narodem liczyć się trzeba, jako z jednostką samodzielną.

Z czego historyk sądzić będzie o rozwoju myśli politycznej w Polsce podczas rozbiorów? Przejawy w czynach naszych, jakiemi były powstania, nie dają pojęcia należytego o naszym procesie rozwojowym. Poza uczuciowością, podatną na odruchy, kształciliśmy też myśl; szeregu pokoleń trzeba było, żeby powoli wyprodukować tyle myśli, ile potrzeba było na przeorganizowanie się wewnętrzne i na wypracowanie w sobie wogóle aparatu psychicznego, zdolnego do wysiłków planowych i trwałych. Aż wreszcie przyszło pokolenie, które dorobiło się myśli zdolnej do rzucenia woli narodu w działanie polityczne zewnętrzne.

Na to jest nauka historji ze wszystkiemi rozgałęzieniami w dzieje kultury, aby ten proces rozwojowy ujawnić. To też szczególną doniosłość dla dziejów Polski porozbiorowej przedstawiają badania kultury, umiejące zużytkować przedewszystkiem historję literatury do dziejów historji narodu. Tutaj bowiem znaleźć można dokumenty, jak się rozwijała myśl polska, zanim zdołała dźwignąć motyw niepodległości i zrealizować.

Należałoby w tem miejscu zastanowić się nad pytaniem, czy stan naszej historji literatury pozwala na takie jej zużytkowanie. Zajmowała się ona przedewszystkiem poezją, do tego emigracyjną, a badania w tym zakresie wyjaśnić mogą tylko część procesu rozwojowego, mianowicie proces rozwoju uczuciowości narodowej. Oczywiście po Mickiewiczu daleko więcej wiemy o swych uczuciach narodowych i większą w tym zakresie rozprządzamy wyobraźnią, niż przedtem. Ale w ściślejszem zespoleniu z życiem, z faktycznym rozwojem umysłowości mas pozostawała literatura w kraju, a zwłaszcza proza, do której należy i publicystyka. Jeżeli tę literaturę przyziemną, z pominięciem mistycznej na emigracji, weźmiemy za wyraz umysłowości narodu, to przekonamy się, że w Polsce trwała nieprzerwanie praca myślowa i moralna nad odbudową psychiki narodowej, nad jej organizowaniem i sposobem poprawienia swego losu przez poznawanie polskiej rzeczywistości i przerabianie w celu uczynienia narodu silnym, bogatym, odpowiedzialnym i zdolnym do życia samoistnego.

Nasza „praca organiczna“ w trzeciej ćwierci wieku 19-go uwydatniła się w działaniu jako program, ale ona istniała od chwili, kiedy Rzplita się zachwiała, a zaczęła się od pracy wychowawczej i oświatowej. Pierwszym przedmiotem pracy stała się sama psychika. Działalność i literaturę Komisji Edukacyjnej uważać trzeba za punkt wyjścia dalszych etapów pracy organicznej. Każde pokolenie wnosiło coś nowego do tego naturalnego programu, a stare wątki trosk i prac szły w przekazie do nowych pokoleń. Dzieje wychowania i oświaty nie zerwały wątku od wieku 18-go po wiek 20-y, jeno śladów tych trosk szukać potem trzeba w archiwach procesów politycznych, albo w sprawozdaniach instytucyj, opartych na inicjatywie prywatnej, jak Macierz albo T. S. L. Literatura, zbadana w pokładach szarej powieści, ujawni, jak odbywała się praca w przemianach stosunków i obyczajów, ciągnących wątki tradycjonalizmu. Wierna potrzebom życia powieść opowiadana była bez przerwy, jak ją Krasicki i Niemcewicz zaczęli, tylko udoskonalana przez Kraszewskich, Korzeniowskich, Kaczkowskich, aż ta kronika dostała się w ręce znanych nam bezpośrednio Sienkiewicza i Prusa, Dygasińskiego i Reymonta, Orzeszkowej i Żeromskiego.

Nic się nie zrywało, nie robiło przeskoków, nic też samo przez się, bez pracy nie przychodziło. Nawet w tak mozolnej dziedzinie twórczości gospodarczej rozwój odbywał się nie bez udziału myśli, która nurtowała od Staszica i nie była dla nas niespodzianką.

Najtrudniej było z myślą polityczną. Cztery pokolenia od czasu upadku Polski minęły, zanim przyszła na nią kolej, zanim psychika narodu tyle została zorganizowana, aby ją mogła organicznie z siebie wydać i nią się posłużyć. Przyszedł na nią czas dopiero w okresie, który się zaczął około r. 1890 i trwał do traktatu Wersalskiego, do nowej niepodległości polskiej.

Praca Polski nad sobą w czasach porozbiorowych, jeśli chodzi o psychikę, była męką nad tem, żeby wyjść z rozdwojenia wewnętrznego, które sprawiał paralelizm uczuć i rozsądku. Myśl polityczna mogła być owocem tylko tych dwu skłóconych z sobą dialektycznie elementów. Kłóciły się z sobą idealizm i realizm, marzenie z poczuciem rzeczywistości, poezja w literaturze z prozą, a w pojmowaniu polityki—odruch uczuciowy z tendencją ugodliwości, nawet rezygnacji.

Każdemu z tych cennych żywiołów groziło w razie dłuższej rozbieżności zwyrodnienie. Pierwszy z nich, nie mówiąc już o mistycyzmie, groził przejściem przez zużycie się — w werbalizm i symbolizm; rozsądek zaś polityczny z pochodną ugodliwością wyradzał się w służalczą ugodowość, rezygnującą z praw narodu. Zadaniem pokolenia ostatniego na przełomie stuleci było stworzyć takie warunki psychiczne przez wychowanie, któreby umożliwiły zorganizowanie syntetyczne tych dwu pierwiastków na terenie polskiej myśli politycznej.

Widocznie wśród elity społeczeństwa była to dla umysłów sprawa dojrzała, skoro potrafił czynu tego na gruncie idei dokonać z całą prostotą Jan Popławski. W jego idei idealizm romantyczny złączył się z realizmem pojmowania środków w sposób tak integralny, że cel sam, jakim była niepodległość Polski, stał się realny, a wszelkie środki przez to mogły być mierzone romantycznie na zamiary. Myśl Popławskiego do równania, w jakiem narzucało się do rozwiązania zagadnienie sprawy polskiej, wprowadziła t. zw. *inponderabilia*. Te mu się stały jasne z poezji, która była odkrywcą duszy narodowej. Popławski już tę psychikę widział realnie. Drugą niewiadomą od-

krył przenikliwym wzrokiem realisty „organicznika" przez trzeźwą ocenę stanu sił w masach — sił, które w pewnym momencie rozwiążą równanie niepodległości.

Proces dojrzewania narodu nie jest jeszcze ukończony. Widzimy to po dzisiejszych kłopotach, jakie mamy z niedojrzałością myśli politycznej w sferach, które potrafiły już zorganizować się pod nakazem myśli międzynarodowej, a jeszcze z psychiką narodu dojść do ładu nie mogą. Ale jakże wielki mamy już postęp od czasu anarchji duchowej w. 18-go! Przytoczyliśmy w poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej" przy innej okazji zdanie cudzoziemca o nas z r. 1848. Robiliśmy jeszcze wtedy wrażenie narodu niedojrzałego, ruchliwego, ale niezdatnego do życia. Takie wrażenie musiał wywierać brak skoordynowania systemu uczuciowego z rozsądkiem. Wiedzieli o tem dobrze wrogowie i umieli wytworzyć w Polsce taki system oddziaływań, żeby te dwa żywioły pogłębiały między sobą przepaść. Masonerja w Polsce odgrywała pod tym względem rolę nieżyczliwych lekarzy psychjatrów, ciągnąc w obie strony duszę polską — bądź do wybuchów uczuciowych, bądź do skrajnego oportunizmu w ugodowości — aby tylko nie pozwolić na zorganizowanie się psychiki polskiej, w anarchji ją utrzymać, aby nie doszło do skonsolidowania się polskiej myśli politycznej.

Sekretem gry politycznej tych obcych wpływów w Polsce było zawsze działanie na psychikę w celu powiększenia owej rozbieżności między czerwonymi i białymi. Wpędzało się jednych pod hasłem uczuć patrjotycznych w nieopatrzne ruchy na to, by potem drugich wpędzać w ugodę z państwami zaborczemi i w rezultacie pogłębiać niewolę, a w duszach psychikę niewolnictwa. Jedynym sposobem zapobieżenia tej grze było zbudować duszę polską na typ niepodległy, świadomy swego stanu, swych celów i środków, dać mu oparcie w jasnej myśli politycznej. I tego związania uczuciowości polskiej z rozsądkiem dokonało ostatnie pokolenie — o tyle przynajmniej, że w czasie wojny można już było wolę polską w grę polityczną na arenie światowej wprowadzić. I tylko dlatego Polska zdołała sprawę wygrać, że w tej grze nie pozwoliła się reprezentować „maskom", które od stu kilkudziesięciu lat świadomość polską fałszowały. Tajemnicą powodzenia w pracy tego ostatniego pokolenia, które wytworzyło ruch wszechpolski demokratyczno-narodowy, było to, że ono pierwsze wyemancypowało się z pod wpływów tajnej organizacji międzynarodowej, która dotąd arkana polityczne w swojej chowała pieczy. Stąd pochodzi straszna nienawiść i walka przeciw temu kierunkowi politycznemu, charakteryzująca dzisiejsze w Polsce stosunki.

Ugodowość w Polsce porozbiorowej była tak dawna, jak i tendencje pracy organicznej. Wypływała ona dawniej (jak np. u Śniadeckiego) z obawy anarchji, wówczas bowiem nie istniały jeszcze dzisiejsze pojęcia o prymacie narodu i wogóle o możliwości konsolidowania się poza państwem i bez pomocy państwa, tembardziej obcego. Za czasów Popławskiego „ugoda" przybrała już postawę czynną „wchodzenia w środek" państw zaborczych i zrzekania się aspiracyj narodowych. Popławski pierwszy znalazł właściwy pion polski, skupiając wyobraźnię na realną siłę narodu. Działalność jego była przedewszystkiem walką o postawę narodu. Wyprostowała grzbiet polska myśl polityczna.

Nie zdajemy sobie dzisiaj sprawy, jak wstrząsającą umysły nowością było twierdzenie, że Polskę stać na własną politykę. Stosunek Polski do państw zaborczych po stu latach niewoli zsunął się z poziomu politycznego na płaszczyznę moralną uczuciowej uległości z jednej strony i uczuciowej nienawiści z drugiej. Był to już poziom niewolnictwa. Dusze najuczciwsze odsunęły się od zagadnień politycznych i zanurzyły się w czystą atmosferę pracy. Kwitła tutaj twórczość na wielu polach i nazwiska stąd przejdą do historji. Ale charakterystycznym rysem czasu było to, że nowe pokolenie nie miało już z tamtem, nawet najszlachetniejszem, wspólnego języka. Zaczął się zupełnie nowy okres myśli polskiej. Nowe pokolenie myślało już kategorjami politycznemi, zupełnie obcemi okresowi pozytywistycznemu.

Było to stanowisko nowe przedewszystkiem w stosunku do tych, którzy w bezwładzie myśli wynaturzali dawne hasła polityczne czy po stronie irredentystów, czy ugodowców. Dla pierwszych nowe hasła były zbyt realistyczne, za wiele wprowadzały czynników rachuby (stąd wzięły się potem oskarżenia o ugodowość); ugodowcom zas wydały się hasłami powstańczemi i napawały ich grozą.

Odcięcie od pokoleń dawnych było tak stanowcze, że nowy ruch nie miał wśród wyznawców ludzi starszych. Poczynała się rzecz na nowo. Z kilku okresów czasu niewoli, charakteryzujących się w życiu i w literaturze swoistemi cechami, ten ostatni miał bodaj najwięcej praw nazywania się nowym okresem. Przejawił się on swoiście we wszystkich dziedzinach pracy duchowej, a poznać go wszędzie można po obecności myśli politycznej: czy na terenie ruchu czysto politycznego, który wydał nieznaną dotąd w nowej Polsce z mocy i wzrostu postać męża stanu, jakim jest Roman Dmowski, czy w dziedzinie wychowania narodu, która objęła całą siecią pracy oświatowej lud, a wpływem twórczej myśli szerokie sfery inteligencji i wydała znakomitego teoretyka wychowania Lucjana Zarzeckiego, czy w publicystyce przez stworzenie nowej prasy, czyniącej przewrót w życiu umysłowem, oduczonem polityki, czy w nauce przez wytworzenie ruchu w ludoznawstwie i socjologji, czy w literaturze wydając takich twórców, jak Kasprowicz, Reymont lub poszczególne dzieła Wyspiańskiego i Sienkiewicza.

Cały ów wielki prąd bierze początek w tem źródle inspiracji narodowej, które Popławski pierwszy ujął w cembrowinę prostej koncepcji o sile i samodzielności duchowej narodu. W czasie wielkiej wojny myśl ta znalazła swój wyraz w memorjałach Dmowskiego i w mowach jego na kongresie pokoju. Tu dobiegła szczytu twórczości umysłowość tego pokolenia. Któż powie, co tu jest słowem — co czynem, co duchem — co krwią, co zasługą jednostki — co wykwitem genjuszu narodowego?

Jeden z irredentystów nazwał niegdyś Popławskiego „człowiekiem gąbką". Chciał go może zniesławić, a powiedział o jego umyśle prawdę — wysoce pochlebną. Był to wielki intuicjonista, jeśli chodzi o tę część daru twórczości narodowej, która polega na wyczuciu tętna Ojczyzny. Chłonął w siebie. Chłonął niewiadomo skąd, z jakiegoś prądu sympatycznego wiedzę o samopoczuciu narodu. Kiedy mówił, że rosną siły ludu, to miał co do tego pewność i to brał za punkt wyjścia. Chłonął w siebie wszystko, co było w życiu polskiem wartością pozytywną. Nie widział partyj w czerwonym czy białym uniformie, ale w każdej wyczuwał to, co było jej historyczną wartością. Chłonął tedy w siebie i romantyzm i pozytywizm, był jednocześnie człowiekiem uczuć i rozumu. I dla tego otworzył drogę czynu politycznego.

ZYGMUNT WASILEWSKI

POWSTANIE I WOJNA

NIE wyjaśni się dziejów odbudowania Państwa Polskiego bez należytego uprzytomnienia sobie zasadniczej różnicy, jaka istniała między czynem wojskowym z lat 1914—1916 (legjony) a rozpoczętą w r. 1918 zwycięską wojną o niepodległość. Bliskość w czasie, niejednokrotnie także udział tych samych ludzi (zwłaszcza na stanowiskach kierowniczych) sprawiły, że różnica ta często bywa zacierana, że obydwa te, całkowicie odmienne zdarzenia historyczne łączy się w jedno, wytwarzając obraz przeszłości z gruntu fałszywy, pozbawiony prawdy psychologicznej i logiki politycznej, niezrozumiały. Warto przeto, choćby w formie szkicowej, wykazać, na czem przedewszystkiem ta odmienność a nawet przeciwstawność polegała, jakie było jej podłoże duchowe, i jakie to w obu poszczególnych wypadkach sprowadzić musiało następstwa.

*

„Synkowie moi, poszedłem w bój, jako wasz dziad, a ojciec mój" — temi słowy zmarły w r. 1915 poeta-legjonista Jerzy Żuławski wyznaje, jaki nakaz wewnętrzny przymusił go do chwycenia za broń i wstąpienia w szeregi legjonowe. Nakazem tym była wierność tradycji powstańczej ojców i dziadów. To oparcie się na dziedzictwie duchowem powstań, zwłaszcza ostatniego z r. 1863, jest kluczem, pozwalającym odcyfrować całą psychikę ruchu legjonowego, a równocześnie wytłumaczyć także jego losy. Niedarmo ulubionemi utworami beletrystycznemi, któremi przed wojną karmili się młodzi kandydaci na legjonistów, były: „Kryjaki" Wielopolskiej oraz „Ojcowie nasi" Struga Niedarmo później, w czasie walk i odpoczynków za frontem, nie zapominano w legjonach o święceniu rocznic powstańczych, urządzaniu „wieczorów styczniowych" i t. p. (por. wspomnienia St. Długosza: „Przed złotym czasem"). W całej bogatej t. zw. literaturze legjonowej motyw „nawrotu do idei powstańczej" powtarza się nieustannie. Spisując w twierdzy magdeburskiej swoje wspomnienia wojskowe, Józef Piłsudski wyznaje, że w pierwszych tygodniach walk w r. 1914 z największą goryczą rozmyślał o krytycznej ocenie przez społeczeństwo polskie wyników powstania styczniowego: „Nie mogłem się pozbyć uporczywej chęci zwalczenia tradycji myślowej naszego polskiego społeczeństwa w stosunku do 63-go roku"[1]).

Podobieństwa między ruchami powstańczemi a legjonami z r. 1914 są w wielu wypadkach uderzające. Tak jak powstania, szczególnie po r. 1831, z hasłem niepodległości łączyły hasła radykalizmu społecznego, a mimo to poruszyć rzesz ludowych nie potrafiły, podobnie legjony, wywodzące się od skrajnie lewicowej Komisji Tymczasowej Stronnictw Niepodległościowych, pozostały do końca ruchem wyłącznie niemal inteligenckim, dla mas obcym całkowicie i obojętnym. Podobieństw psychiki przeciętnego legjonisty i powstańca, i to zarówno w stosunku do spraw ważnych jak drugorzędnych, możnaby przytaczać bez liku. Aby jednakże istotę tego pokrewieństwa duchowego uchwycić, należy określić nieco dokładniej rzeczywisty charakter i znaczenie powstań w naszej historji porozbiorowej.

[1]) Józef Piłsudski: „Moje pierwsze boje" Warsz. 1925, Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska", str. 17.

Jeszcze w „Myślach nowoczesnego Polaka" zwrócił uwagę Dmowski, że powstania były „właściwie tylko negacją niewoli"[2]). Szerzej rozwinął i uzasadnił tę myśl w „Polityce polskiej", konkludując: „Powstania nasze były zbrojnemi protestami przeciw uciskowi, nie zaś walką o odbudowanie państwa polskiego. Żadne z nich nie miało planu tego państwa, kierownicy ich nie zastanawiali się nawet poważnie nad tem, coby zrobili w razie powodzenia"[3]). Istota rzeczy polegała właśnie na demonstracji, na proteście wobec swoich i obcych przeciw zbrodni i hańbie niewoli. Romantyczna zaś przeciwstawność „słowa" i „czynu" żądała, aby protestu tego nie ograniczać do deklaracyj słownych, ale siły moralnej i powagi przydać mu przez gotowość przelania krwi własnej na świadectwo głoszonej prawdzie.

Ten charakter zbrojnej demonstracji, zbrojnego protestu przeciw niewoli, jest dla całej akcji legjonowej niesłychanie znamienny. Nie należy mniemać, aby dla przeciętnego legjonisty, a nawet dowódcy, wystąpienie ich w r. 1914 było wynikiem jakiegoś politycznego rozumowania, które, wnioskując z czynów, musiałoby wówczas przedstawiać się w sposób mniej więcej następujący: „Interes Polski wymaga zwycięstwa Niemiec i Austro-Węgier. Zwycięstwo to jest dla Polski rzeczą tak cenną, że dla ułatwienia go powinniśmy zdobyć się na największy wysiłek i wszelkie ofiary". Najprawdziwszy, najgłębszy motyw czynu legjonowego odsłania odezwa wiedeńskiego parlamentarnego Koła Polskiego z dnia 16 sierpnia 1914 r.: „W tej chwili naród polski musi dowieść, że żyje i żyć chce"... Po roku walki, dn. 5 sierpnia 1915 r., tęż samą myśl wypowiada w rozkazie dziennym brygadjer Piłsudski: „Rok temu z garścią małą ludzi źle wyposażonych rozpocząłem wojnę. Cały świat stanął wtedy do boju. Nie chciałem pozwolić, aby w czasie, gdy na żywem ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tem brakowało". Nie o plan określony więc chodziło, a tylko o potrzebę psychiczną zademonstrowania, że „naród polski żyje", że wśród wielkiego zmagania się narodów nie „zabrakło polskiej szabli"[4]). Przypominają się słowa Konrada i odpowiedź Muzy w „Wyzwoleniu" Wyspiańskiego: „...Chcę działać". — „Wiem, rozumiem: gestem"...

Na dnie tej psychiki był bolesny, tragiczny brak wiary w naród, nieustanne domaganie się potwierdzenia, że naród „jeszcze nie umarł", jeszcze nie utracił całkowicie wrażliwości na cierpienia, zadawane przez prześladowców. Traktowano naród, a nawet własny

[2]) Roman Dmowski: „Myśli nowoczesnego Polaka" wydanie trzecie, Lwów 1907 str. 158.

[3]) Roman Dmowski: „Polityka polska i odbudowanie państwa". Warszawa 1925, str. 51.

[4]) W wydanym w r. 1922 „Djarjuszu oficera rezerwy" niejaki p. Mieczysław Skrzetuski zamieścił bardzo charakterystyczne wspomnienie. Oto w r. 1915, na Wołyniu, „wachmistrz Andrzej Strug" i „kapral Wacław Sieroszewski" znaleźli się w przejeździe we dworze p. Łobarzewskiego w Wielicku i wdali się w dyskusję polityczną z gospodarzem. P. Łobarzewski zarzucał legjonistom, że „pomagają Niemcom przeciw Francji". Odpowiedź na to literatów—ułanów była bardzo pouczająca: „Iść do Francji zadaleko i niemożliwe, a siedzieć bezczynnie, czekać, gdy świat cały w ogniu!?" Decyzja przeto walczenia po stronie Niemiec, nie zaś po stronie ich wrogów, nastąpiła, jak się okazuje, z przyczyn czysto technicznych: bo było bliżej...

swój patrjotyzm jak chorego, który już stracił czucie, radowano się, jeżeli nawet odruchem, czynionym bez udziału świadomości, przejawiał zdolność reagowania na zewnętrzne podniety. Ludziom, dla których wiara w Polskę była czemś wewnętrznie koniecznem, niewątpliwem, nastroje podobne musiały zdawna przedstawiać się jako przeszkoda, uniemożliwiająca wszelki czyn rzeczywisty i twórczy. Warto raz jeszcze przytoczyć słowa Wyspiańskiego z „Wyzwolenia": „Bo to tąk wygląda, jakby Polski nie było, Polaków nie było... Jakby ziemi nawet nie było polskiej i trzeba było wszystko pokazywać, bo wszystkiego zostało na okaz, po trochu;... pokazywać, jakby srebra stołowe w zastawie; pokazywać, jakby kartki i karteczki zastawnicze — i kryć się, i udawać, i udawać".

Jeżeli gest staje się celem ostatecznym, to nie może być gestu piękniejszego, niż śmierć bohaterska. „Legjony to straceńców los" — powtarzał refren pieśni „pierwszej brygady". Rzeczywistość zresztą zbyt była szydercza, zbyt jaskrawo rzucała się w oczy pustka górnego frazesu—wobec faktu kilku maleńkich oddziałków, oddawanych pod komendę byle niemieckiego generała i otrzymujących od niego w rozkazie dziennym pochwały za należyte wykonywanie powierzonej im cząstki planu taktycznego którejś z bawarskich dywizyj..[5]) O cóż wreszcie, jeżeli nie o śmierć piękną, mógł walczyć legjonista, skoro każdy krok naprzód powiększał tylko teren niemiecko-austrjackiej okupacji, a cofnięcie się nie było oddawaniem wolnej ziemi polskiej w ręce nieprzyjaciela. Niepodległość prawdziwa, jak przed laty na garstkę powstańców, osaczanych w lasach przez Moskali, czekała na niego dopiero po drugiej stronie śmierci: „Śpij kolego, a w tym grobie, niech się Polska przyśni tobie"...

Konkluzja zarysowuje się wyraźnie: Legjony z r. 1914 były ostatniem polskiem powstaniem i podobnie jak wszystkie poprzednie, zakończyły się klęską. Tak jak powstania poprzednie, były one pozbawionym planu politycznego „protestem przeciwko uciskowi" i przez to samo już niczem także więcej, niż „gestem", stać się nie mogły. Tak jak poprzednie, opromienione są chwałą osobistego bohaterstwa, przepojonego przytem ową specjalnie powstańczą, romantyczną melancholją „straceńców". A nakoniec, tak jak wszystkie powstania poprzednie, posiadały legjony swą martyrologję, swój Sybir: na ten raz okazały się nim austrjackie więzienia i pruskie obozy jeńców.

Kiedy wskutek pogromu Niemiec, w roku 1918 naród polski miał na nowo odzyskać niepodległość, powstanie z r. 1914 zakończone już było zgodnie z wszelkiemi tradycyjnemi regułami: część znalazła śmierć na polu bitwy, resztę więziono w Szczypiornie, Benjaminowie, Huszt, Marmaros-Szigeth...

*

Jakże odmienna od powstańczej była psychologja żołnierzy Państwa Polskiego, walczących od r. 1918 o jego niepodległość i granice! Cele walki przestały być mgliste, oderwane. Nie byli tam już żołnierze „bez Ojczyzny", walczący „o owe nic nieśmiertelne i najszczytniejsze", jak niedawno określał legjonistów oficjalny bard Polski „rozbudowanej", p. Juljusz Kaden-Bandrowski. Gdy lwowianie w listopadzie 1918 r. chwytali za broń, to nie z myślą „protestu", nie z zamiarem stwierdzenia śmiercią własną, że zamach ukraiński był zbrodnią, ale z jasnem postanowieniem zgniecenia wrogiej Polsce ruchawki, niedopuszczania, żeby południowo-wschodnie granice Rzplitej mogły zostać wytyczone na zachód od Zbrucza. Określony, dla każdego zrozumiały cel entuzjazmem orzeźwiał kraj wyniszczony, porywał wszystkich do żywiołowo w różnych częściach Polski powstających sił zbrojnych: armji wielkopolskiej czy „dywizji litewsko-białoruskiej", „odsieczy Lwowa", najrozmaitszych, coraz nowych pułków, bataljonów, szwadronów. A jednocześnie poza granicami Polski gotowała się do powrotu armja polska, już nie legja pomocnicza przy wojsku cudzoziemskiem, ale jedna z równouprawnionych armij sprzymierzonych, które właśnie wspólnie odniosły zwycięstwo w największej wojnie w dziejach świata.

Może ten konkretnie pojmowany, a tem samem łatwiej uchwytny cel walki był powodem, że zanim jeszcze ustawą sejmową wprowadzono powszechny obowiązek służby wojskowej, nieosiągalne dotychczas marzenie powstańców: pociągnięcie rzesz ludowych do walki za Polskę, nagle stało się faktem. Dla najsłabiej uświadomionego chłopa wielkopolskiego, jeńca z armji niemieckiej, dla oddawna oderwanego od kraju emigranta z Ameryki stawało się jasne, że trzeba pokonać Niemcy, żeby dla Państwa Polskiego odzyskać Poznańskie, Śląsk i Pomorze. Każdy „mikrus", ulicznik lwowski rozumiał doskonale, że coprędzej przepędzić trzeba z miasta ukraińców...

A ten świeży całkiem, i w ogromnej większości bardzo młodzieńczy żywioł, z którego powstawała nowa armja polska, nadawać musiał jej obliczu duchowemu wyraz zupełnie swoisty. Legjoniści, tak jak dawni romantyczni powstańcy, na zachowaniu swem mieli zawsze wyciśnięte piętno pewnej literackości, coś jakgdyby nawpół świadomy gest bohaterów rewolucyjno-martyrologicznej publicystyki i poezji. Młody żołnierz Polski niepodległej obcy był formułkom konwenansu literackiego najkompletniej. Mogli sobie literaci w r. 1919 rozczulać się nad „obdartym i bosym żołnierzykiem", żołnierz jednak nie zamierzał ani przez chwilę kokietować świata romantycznością swoich łachmanów: podziw bierze, jak w tych pierwszych, ciężkich miesiącach, gdy poszczególne oddziałki tak rozmaicie bywały uzbrojone i umundurowane, młodzi podoficerowie i rekruci potrafili wysilać swą pomysłowość, byle tylko „do figury" przerobić mundur „fasowany", na kołnierzu przyszyć błyszczące „wężyki", dostać drogą handlu zamiennego „pas koalicyjny" a na rękaw zdobyć pięknie haftowaną odznakę służby czy broni.

Nie „nastroje" pchały wówczas w bój żołnierzy, lecz najgłębszy, rasowy instynkt polski, nie frazesy formowały ich psychikę, lecz życie. Przejawów tego nowego stanu umysłów możnaby zacytować wiele. Jakże inaczej np. musiał odnosić się do żydów żołnierz, z własnego doświadczenia znający ich zachowanie się w miastach i miasteczkach kresowych, aniżeli w roku 1914 legjonista, który swego „irredentyzmu" antycarskiego uczył się na pismach Wilhelma Feldmana...

Nie tu miejsce, w pobieżnym szkicu, by usiłować dać charakterystykę żołnierza polskiego z lat 1918 — 1920, przedstawiać i jego wartości i jego braki. To pewna, że żołnierz ten wygrał wojnę. I to również stwierdzić należy, iż w dziejach wojska polskiego rozpoczyna on rozdział nowy, gdy legjony z r. 1914 zamknęły rozdział poprzedni, okres krwawych, bezplanowych i bezsilnych odruchów powstańczych.

JAN REMBIELIŃSKI

---

[5]) Por. „Walki Legjonów w świetle austro-węg. i niem. rozkazów pochwalnych". Nakładem Naczelnego Kom. Nar. w Krakowie 1917.

POLSKA W OCZACH ZACHODU

I

NA zapytanie, czy po dziesięciu dobiegających latach nowej państwowej istności Polska, polskie społeczeństwo, polska indywidualność i charakter, Polak wyzwolony jednem słowem, zyskały sobie w Europie Zachodniej pełną sympatję, względnie odświeżyły tę, jaką miały już po r. 31-szym lub 63-cim... sumarycznie ale kategorycznie niestety możemy już dzisiaj odpowiedzieć: nie.

Usuwamy na bok kwestję ustosunkowania się do nas wewnętrznych mniejszości, usuwamy uczuciowe nastawienie mniejszych lub wielkich sąsiadów, nie będziemy się zastanawiali nad oceanami nienawiści, które nas otaczają ze Wschodu i Zachodu, a precyzując zagadnienie, bardzo ze względu na przyszłość ważne (przysłowie angielskie mówi: *„hit him he has no friend...“* bij go, on nie ma przyjaciela), zapytajmy siebie samych, czy w społeczeństwach dawnej Ententy, jeszcze specjalniej w zachodnich społeczeństwach, francuskiem, angielskiem, włoskiem wzrósł przez te dziesięć lat żelazny kapitał sympatyj dla narodu polskiego, kapitał głębokiego szerokiego, zainteresowania, zaciekawienia, współczucia, szacunku, czci, podziwu, a w pewnej mierze wdzięczności...?

Odpowiedź na to, po skrupulatnych stałych dociekaniach będzie brzmiała: nie.

Polska, można to sobie jasno dziś powiedzieć, Polska — mimo jej wspaniałych i imponujących wysiłków i wyczynów państwowo-twórczych, budowniczych i rozbudowniczych nie cieszy się ni sympatją, ni popularnością, ni czcią społeczeństw byłej Ententy.

To trzeba sobie powiedzieć spokojnie, to trzeba raz wreszcie udowodnić i rezultat tego smutnego deficytu opinji publicznej sprezentować.

Dokonać tego można, powołując na świadków generalnych nie tych, których wzywało się stale dotychczas. Trzeba się oprzeć na literaturze społeczeństw zachodnich, to jest na prawdziwem zwierciedle duszy narodów i jej opinji wewnętrznej, domowej, istotnej. Uczucie, jakie żywi jeden naród dla drugiego, mierzy się sumą uczuć przyjaznych, zawartych w literaturze. Enuncjacje mężów stanu, dyplomatów, polityków zależą w całości od konstelacyj i koniunktur czasowych i zmiennych jak obłoki na niebie; wartość rynkową mają taką, jaką wieczne zaklinania o pokoju *(si vis pacem para bellum)*. Wszelkie komplementy i duserv stanowią tu ustaloną frazeologję; dzisiejsze Niemcy słyszą ich obecnie stosunkowo najwięcej, a postaci rzeczy w Nadrenji to nie zmienia; bolszewicka Rosja afrontów, potępień i sabotażu znosi najwięcej; pomimo tego niechby tylko zaczęła przekształcać się forma ustrojowa w Sowietach, Rosja stanie się faworytem wszystkich narodów, ras i państw świata, które nogi łamać będą, biegnąc do niej w wyścigu konkurencyjnym z oświadczynami dozgonnej przyjaźni i miłości. Enuncjacje polityków i dyplomatów mówią efektownie bardzo wiele, ale effektywnie bardzo mało. W burżuazyjnym ustroju świata to państwo, które ostatnie, na skraju granicy z jedynem poronionem ale zaraźliwem i niebezpiecznem państwem proletarjackiem, to państwo aktualnie cieszy się i profituje z protekcji solidaryzującej się z niem reszty burżuazyjnego globu; protekcja ta atoli automatycznie i nieubłaganie zmniejszałaby się w naszych oczach, gdyby metamorfozy zachodzące w proletarjackiem państwie zaczęły przybierać kształt zbyt uwodzący dla krajów innych, li tylko kapitalistycznymi interesami się kierujących. Przy braku rzetelnych głębokich sympatyj i szacunku narodu do narodu, enuncjacje mężów stanu i polityków stawałyby się coraz wodnistsze i anemiczniejsze, aczkolwiek trzeba to wyznać, że już dzisiaj kierownicy polityki europejskiej nas superlatywami nie psują i nie rozgrymaszają.

Na pochlebnych głosach i glossach wielkich dzienników, zresztą w stosunku do nas też skąpych, przygodnych i zmiennych, jak pogoda jesienna, budować też wiele nie można. Ta miłość bywa przeważnie opłacona, niekiedy bardzo kosztowna. Zależna też jest od fluktuacyj politycznych, od aktualnych ustosunkowań od pewnych kwestji i problematów, jak też i od funduszów dyspozycyjnych, jakimi rozporządzają propaganda i ministerja. Wiemy dzisiaj dokładnie, ile carat wypłacał bulwarowej prasie paryskiej, ale wiemy również, że nawet takie sumy olbrzymie na podżywienie aljansu by nie wystarczyły, gdyby nie przedziwna, może perwersyjna sympatia narodu dla narodu, gdyby nie podziw i admiracja dla potężnej rosyjskiej literatury, sztuki, teatru, malarstwa, nawet baletu no i nauki rosyjskiej (bo i tę się tylko w Polsce jeszcze bagatelizuje). Same ruble by nie wystarczyły, ani węgiel, nafta, platyna. Artykuły dziennikarskie najczęściej mają wagę i walor jednego dnia czy jednego tygodnia. Ten sam potężny i poważny organ, ci sami potężni i poważni publicyści: Garvin, Gauvain, Augur, de Jouvenel, Rivet, Arnoldo Mussolini, Rastignac ileż to razy zmieniali w tych dziesięciu latach pogląd na pryncypalne sprawy n.p. naszego pomorskiego korytarza, podziału G. Śląska, Wschodn. Małopolski, przynależności Wilna. Jak to Mereżkowski zmienił ostatnio swój pogląd na nasze polityczne figury? Iluż z nich zmienia nawet bezinteresownie. Głosy i glossy prasy zagranicznej imponować tedy mogą tylko mobowi, nie mającemu pojęcia o przetargach za kulisami, o kosztowności wizyt tych „zachwyconych“ cudzoziemców, notujących w bloczkach skwapliwie, co im dyktuje odkomenderowany funkcjonarjusz. Do żelaznego kapitału sympatji i szacunku narodu dla narodu z tego, co wypisują p. p. Sauerwein czy Augur wchodzi literalnie minimalna uncja, niedostrzegalna w ogólnym obrachunku. Oczywiście sypnięcie nawet znaczniejszych sum dla wlansowania czegoś w *„Chicago Tribune“*, *„New-York Times“* czy patriarchalne *„Revue de deux Mondes“* tylko się chwali, o ile oczywiście nie jednostka a Polska wychodzi z tego z profilem. Wszystko to atoli dzieje się na epidermie, na powierzchni codzienności i żłobi ślady tylko na cienkiej warstwie mentalności czytelników gazet, na której już następnego dnia mogą oddziaływać suggestje wprost przeciwne. Na tem i budować nie można wiary w naszą wielką przyszłość i po tem, po tej płytkiej pianie dziennikarskiej nie można mieć żadnych illuzyj co do temperatury sympatyj i popularności naszej w zachodnich narodach.

Sprawdzianem natomiast ważnym jest literatura, sztuka, teatr a nawet film. Nie dyplomaci i dziennikarze mogą nas przekonać czy w nas wmówić, że istnieje taki a taki nadmiar zainteresowania dla nas w głębokich uwarstwowieniach społecznych Zachodu, a tylko i wyłącznie tamte dziedziny, powtarzamy raz jeszcze: literatura, sztuka, teatr, film. Chodzić tedy będzie o to, jaką rolę gra polskość, Polak w lite-

raturze, teatrze, sztuce i kinowej produkcji Zachodu oraz jakiem zainteresowaniem, jaką popularnością cieszy się na Zachodzie polska literatura, teatr, sztuka względnie film? Czy fenomen odbudowania starego państwa i wejścia Polaków na wielką arenę politycznych narodów wzbudziły odpowiednio wielką emocję i spodziewany rezonans w twórczości Anglików, Francuzów, Włochów? czy broniąc kapitalistycznego świata przed barbarzyńską czerwoną nawałą zyskaliśmy sobie trwałe fawory elity intelektualnej zachodnio-europejskiej? czy zmartwychwstanie Łazarza sarmackiego wpłynęło na fantazję i imaginację plastyków, czy nowy, nieznany, powiedzmy sobie omal egzotyczny partner na scenę świata wyszedłszy, zyskał sobie, jak można było oczekiwać przedewszystkiem nową dziedzinę sztuki t.j. kino? Inaczej: czy naprzeciw przychodzącego do zdrowia z długiego letargu rekonwalescenta wyszli z otwartemi ramionami ci ducha Zachodu reprezentanci, ci co są dzisiaj solą ziemi brytyjskiej, gallijskiej, romańskiej?

Z perspektywy dziesięciu lat w ogólnej syntezie biorąc: rozczarowanie na całej linji. Na dokumentarycznym materjale rzeczowo-dowodowym opierając się, stwierdzić na razie musimy jasno i prosto: albo nas nie widzą, albo nas nienawidzą... Albo nas bagatelizują, albo nas szkalują, albo jesteśmy im obojętni albo wstrętni. Fakt pozostaje faktem, że Polska dzisiejsza głębszej, szerszej, mocniejszej sympatji i popularności w narodach zachodnich sobie nie zdobyła, „Polak" zaś jako taki i jako indywidualność psycho-etniczna mocno na dawnym uroku swoim stracił. Konstatują to stale i systematycznie ci wszyscy w druku i słowie, co w metropoljach europejskich badają stan temperatury uczuciowej dla nas, ci co sygnalizują wszystkie choćby mikroskopijne symptomaty przychylności czy podziwu dla naszego wydźwigiwania się z niewolniczego niebytu. Nastroje trzech najważniejszych narodów Zachodu dla alianta wschodniego są stale i chronicznie szare, nijakie, sztywne, sztuczne, w przygodnej, koniecznej, uroczystościowej affektacji nawet nie wysilone, konwencjonalne, bez przekonania, bez zapału, bez egzaltacji. We frazesach bankietowych nawet jest już teraz (dopiero po dziesięciu latach!) pewne znużenie, zblazowanie, przymus bez cienia radosnego zapału i tkliwej serdeczności.

Razi to zaś i bólem dojmującym co wrażliwszych napełnia tembardziej, że równocześnie z obniżeniem temperatury uczuciowej dla nas najniespodziewaniej wzrastają z roku na rok ciepłe nastroje dla naszych dwóch wielkich, wrogich, czyhających sąsiadów. Tu nie chodzi o sympatje polityczne, ekonomiczne, handlowe, o zawiązywanie wspólnych trustów i koncernów z Niemcami, i nie chodzi także o wzrastający apetyt i tęsknotę za rosyjskiemi rynkami zbytu, tu na drugi plan schodzi wielkobrytańska akcja galwanizacji, podtrzymania i postawienia na równe nogi Niemiec, tu nie chodzi o program A. Monda w Londynie, o propagandę A. Rechberga w Paryżu, owacje, supremację i hegemonję Niemców w Genewie. Ważniejsze, stokroć ważniejsze są w głębiach społeczeństw zachodnich odniedawna istniejące, silnie tam nurtujące a odźwierciadlające się w literaturze, w sztuce, w teatrze, w kinie, w coraz bardziej wzmożonem tempie rosnące pokojowo-kojąco-ciepłe nastroje i dla Niemiec i dla Rosji. Kierownicy i sternicy polityczni narodów zachodnich albo z tem walczą, albo tym prądom czynią większe lub mniejsze koncesje. W Polsce pisze się o tem, zapewne „ku pokrzepieniu serc", że szukać w tem należy tylko następstw i rezultatów niemieckiej czy sowieckiej propagandy. W prasie, zapewne, duży odsetek, choć nie tak wielki jak się przypuszcza, przypada na hypnozę i subsydja złota. Na literaturę, sztukę, teatr, kino propaganda tego typu wpływa minimalnie. Tu o popycie i sukcesie decyduje imperatyw woli czy kaprysów, apetytów, gustów, nastrojów albo mas szerokich, albo właśnie wpływowej kierowniczej elity. I oto co tam widzimy: Rosja i Rosjanie są stale na scenie i na estradzie. Jak była dawniej carska, tak nadal bolszewicka, nadal fascynuje, intryguje, zajmuje, irytuje, zaciekawia, olśniewa, oburza, doprowadza do wściekłości, do odrazy ale przyciąga wszystkich jak opiłki wielka góra magnesowa. Pod tym względem i przez przegraną wojnę i po upadku caratu i wbrew bolszewizmowi nie zmieniło się nic a nic. Te cztery miliony „Moskali" poległych w wojnie europejskiej w obronie Belgji i Serbji, Francji i Londynu bądź co bądź ważą nadal mocno na szalach sympatyj krajów, cywilizację wytwarzających. Tego się z dziejów ludzkości wymazać czy przekrzyczeć, ani też czapkami zatłamsić nie da. Zachód cały skitowany krwią przez pięć lat, uważa Iwana rosyjskiego za kombattanta, który *tempore belli* przegrywając batalję po batalji, poddał się panice, uchlał fuzlem ideowym do nieprzytomności, potknął i leży w rowie, obrabowany, obszarpany, omal goły i teraz śpi, chrapie i jęczy przez sen pod ciężarem marxowskiej zmory. Rychło atoli zmorę zrzuci i zacznie wstawać. I na to właśnie czyhają wszyscy. Kto mu pomoże pierwszy, ten wygrał. O tem, żeby książczyny niejakiego pana Kucharzewskiego Jana ogromnie sobie wzieli do serca i sumienia panowie Londynu, Paryża i Rzymu, o tem niema mowy; kto wie, czy egzemplarze tego tłumaczonego domorosłego arcydzieła ktoś tam gdzieś porozcinał.

I z tem trzeba się liczyć. Nie pieścić się snami, że Rosji na sto, czy na 50, czy na 25 lat poprostu niema. W świadomości całego intellektualnego Zachodu Rosja i Rosjanie nadal istnieją, ba nawet dużo miejsca zajmują. Myśmy ich przez te dziesięć lat nie zastąpili i tego, aby o Rosji choćby na ćwierćwiecze zapomniano, nie dokonali. Nawet jako militarny aljant spotykamy się w najbliższej, bo francuskiej prasie z objawami silnego sceptycyzmu. Jako teren eksploatacji, jako rynek zbytu możemy być uważani przez zimne mózgi Okcidentalów tylko za przejściowy epizod, zanim kapitalistyczny Lewjatan globowy nie będzie mógł rzucić się na bezmiar rosyjski. Czekają tylko na to, czyhają...

Literatura i teatr są i pozostaną odzwierciedleniem zainteresowań i zaciekawień swoich społeczeństw. Sztuka i kino także. Malarze, wirtuozi, muzycy, kompozytorzy, tancerze, kabaretniki rosyjskie są nadal we wszystkich metropoljach świata, czują się jak u siebie w domu, nadal faworyci i championi ekspozytur wystawowych, sal koncertowych, konkursów afiszowych; po filmach wielkoksiążęcych i emigracyjnych Hollywoodu przyszła już na obu półkulach nowa moda na filmy wprost bolszewickie, *made in Goskino*, sączące propagandę w tak chytrze niewidzialnych dozach, że nawet stuprocentowa yankesowska burżuazja zaczyna je nietylko łykać, ale za niemi przepadać, podczas gdy polskich filmów z polskim światem nadal jak nie było tak niema i łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż polskiemu filmowi choćby na krótko przedostać się na afisz kinowy na świecie lub polskim tematem zainteresować dyktatorów Hollywood. To mówi dużo o sympatjach, inklinacjach i gustach mas wielkomiejskich, łasych wszędzie (i w Warszawie) na egzotyczność, kolorystyczność, melodramatyczność, drastyczność, sadyzm, okrucieństwo, pławiących się z rozkoszą to w przepychach carsko-pa-

łacowych, to w nędzy i katordze mużyckiego bytowania; potworność dzisiejszego żywotu w Bolszewji też przez kontrast ma swój „powab" dla dostatniego i spokojnego *mobu* globu. To są rzeczy zrozumiałe, wytłumaczalne.

Trudniej wytłumaczalną jest gorąca inklinacja i wprost chorobliwa pasja wśród inteligencji zachodniej dla literatury bolszewickiej. Kiedy Melchior de Vogüé odkrywał „romans rosyjski", wtedy Francja, a z nią świat dostawał w ręce „Wojnę i Pokój", „Zbrodnię i Karę", Turgieniewa, Sałtykowa, Uspieńskiego i innych. Teatr Stanisławskiego? Pięknie. Balet Diagilewa? Ślicznie. Czechow, Skriabin? Prokofjew? Gorkij? Ślicznie. „Złote Runo" „Apollon"— ślicznie. Idźmy jeszcze dalej w ustępstwach. Gdy poszły na Europę pierwsze przekłady autorów bolszewickich, zaciekawienie i popyt były jeszcze zrozumiałe, tembardziej, że te wypuszczone z klatek drapieżne bestje, bestjalski byt troglodytów opisujące, jeden w drugiego talenty miały jak bite złoto, szczere, chamskie ale wulkaniczne, oszałamiające i to nie tylko żydy, ale rdzenne mużyki z najodleglejszych siół i derewni. Atoli raz „odkryci" znowu piekielnie modni i rozrywani zawalają teraz znów wszystkie witryny wszystkich księgarń zachodnio-europejskich. Każdy tom towarzyszki Sejfuliny automatycznie jest tłumaczony na pierwszych pięć języków świata. O każdym Urwancewie studja i referaty. Każdy reżyser bolszewicki... genjusz, każda książka... rewelacja O każdym Pilniaku, Pasternaku, Babelu i t. p. Jewreju i Jewreinowie... Urwancewie wie na drugi rok po jego debiucie cała elita literacka. Nie, to nietylko skrzętna, zabiegliwa propaganda europejskich jewsekcji, nie, to nietylko zaspakajanie ciekawości: jak to tam w tym „Zukunftsztacie"?, państwie Antychrysta?, gdzie Izrael carstwuje? Nie, to jeszcze, jeszcze wielka sympatja, wielkie współczucie dla tego narodu słowiańskiego, który w wojnie europejskiej na ołtarzu wolności narodów złożył największą, bo czteromiljonową hekatombę, poczem wpadł w obłęd i zaczął wzajem się zarzynać w bratobójczej furji. Przepaścistość, uniwersalizm, humanitaryzm, maksymalizm rosyjski też pociągają i upajają inteligencję europejską, jak haszysz. To prawda. Ale dla współczucia świata, tragedja narodu, który legł jak długi w obronie Belgji i Francji, jest jednak decydująca. Najlepszym zresztą dowodem tej przeciągającej się poza dziesiąty rok solidarności współkombattanckiej (z czem zresztą wcale nie kolidują świeże sympatje dla zwyciężonych Niemiec) jest jeszcze—przy lodowatej obojętności dla tych wszystkich, co przy boku cesarzów stanęli (Węgry, Bułgarja, Turcja)—duży żelazny kapitał sympatji dla drugiego narodu słowiańskiego, t. j. dla Czechów.

Nas albo passywnie nie widzą albo aktywnie nie... lubią. Dziesięcioletnia supremacja w Polsce „na złość Entencie" tych wszystkich, co podczas wojny stanęli po stronie Prus i Austrji, supremacja bezwzględna, nie cofająca się przed terrorem i Fehmegerichtami, supremacja pięści i obcasa, dalej przejęcie od Prus ideałów „*Macht vor Recht*", „*Gewaltstaat*'u" „*Poliziestadt*'u", od Rosji „Ochrany", „inwigilacji" od bolszewizmu etatyzmu i czerezwyczajstw, dalej przedrzeźnianie faszyzmu w tem, co miał najgorszego... to wszystko w przeciągu dziesięciu pierwszych lat istnienia państwa sympatyj zachodnich nam ani nie zjednało ani nie przysporzyło. Oczywiście liczyć się z nami liczą, jako z 27 miljonowem państwem, mowy i toasty ku nam wznoszą, artykuły piszą, na kongresach czasem wybierają, tu i owdzie brawo nam biją na samej powierzchni, na epidermie, w centralach, na estradach. Kto atoli z rodaków-badaczów wstępuje w głąb zachodnich społeczeństw, w prowincję, w inteligencję, w lud, ten napotyka olbrzymie złoża kompletnej obojętności, ignorancji, indyferentyzmu. Tam wszędzie Polska jest Hekubą. Wiedzą tylko tyle, kto w tej Sarmacji dorwał się do władzy i to im wystarcza. Cały potop płatnych, kosztownych artykułów reklamowych nic temu nie zaradza. Mur jakiś niewidzialny nas oddziela. Anglosaski *man of street* zna nazwisko: Paderewski i wie, że ten jest na banicji. Italjanin jednak pamięta czem był w Austrji N. K. N..., przeciętny Francuz słyszał dawniej nazwisko Dmowskiego, Hallera, Zamoyskiego i jeszcze kilku innych. Tych nazwisk już nie spotykają ni w gazetach poważnych ni w bulwarówkach. To też, jak to, niestety, także usposabia dla Polski, dla polskości, dla Polaków wogóle cały Zachód, narody Zachodu, to w całej rozciągłości dokumentarycznie sprezentujemy. Uprzedzić musimy, że to *resumé* Polski siedzącej na cenzurowanem dla badacza znającego historyczną perspektywę przedstawia się aktualnie dość groźnie wobec skolekcjonowania jednostronnego i skonfrontowania poraz pierwszy całego materjału negatywnego. Sympatję albo *odium* dla narodu zdobywają i zyskują w pierwszym rzędzie t. z. wielcy ludzie nadający, narzucający narodowi swój kolor psychiczny (Niemcy Bismarkowskie w znaczeniu odwrotnem). Niepopularność w Europie symbolizującego naród wielkiego człowieka spada ciężarem swym na cały naród. Ponieważ atoli naród jest czynnikiem trwałym, nieśmiertelnym a „nieśmiertelni" bywają zjawiskami przejściowemi, przeto nie traćmy nadziei, że w następnem dziesięcioleciu zdołamy dla siebie jednak z powrotem zyskać Europy Zachodniej sympatję, szacunek, mir i poważanie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

(d. c. n.)

REGNUM INFERNI

SŁOWO „Antychryst" zaczynamy spotykać z dniem każdym częściej w literaturze i publicystyce polskiej. W działach ś. p. Stanisława Przybyszewskiego temat ten otoczony był zawsze mgławicą. Konkretniejszą formę dał temu zagadnieniu ś. p. Tadeusz Nalepiński, w niesłusznie zapomnianej, nadzwyczaj interesującej książce: „ON IDZIE!", naprawdę rewelacyjnej, bo napisanej w 1907 roku, kiedy nie śniło się jeszcze nam wszystkim o bolszewizmie. Szedł wciąż obok tego tematu, ale nie stanął z nim oko w oko ś. p. Stefan Żeromski— a wielka szkoda, gdyż był on z rasy olbrzymów, zdolnych do rzucenia rękawicy na *forum*. Rzucił to słowo Karol Hubert Rostworowski, ale i on dał tylko drobny ułamek oczekiwanego rysunku, wprowadzając na scenę osobistość jednego z drobnych i podrzędnych sług Antychrysta.

Pojęcie akcji Antychrysta na ziemi zamknięte jest, jak dotąd, w nowoczesnej literaturze polskiej w ramach dość ciasnych, aczkolwiek niedokładnych. Odzywa się ów ton najczęściej wtedy, gdy mowa o bolszewizmie, tym najjaskrawszym i bijącym w oczy przykładzie mocy zaprzecznej. *Nota bene*, pod sło-

wem Antychryst rozumie się zazwyczaj Księcia Ciemności, podczas gdy w demonologji imię to nosi indywiduum trzeciego stopnia hierarchji piekielnej, *Apollonius Zabah*, stojące jeszcze niżej od trzech „namiestników lucyferjańskich", których imiona są Baal-Zebub, Astaroth i Moloch, oraz od przywódczyni żeńskich sił ciemnych, Astarte. Mniejsza jednak o to, gdyż w katolickiej koncepcji wróg Jezusowy jest bądź co bądź *Antichristos Magnus*.

Jednem z najgroźniejszych spustoszeń, jakie pozostawiła w świecie epoka pozytywizmu jest nietylko agnostycyzm, rozwinięty w mniejszym lub większym stopniu, ale i pewien specyficzny uśmiech, z którym traktuje się zagadnienia, dotyczące rzesz aniołów upadłych. Uważane są one w najlepszym razie za interesujące tematy poetyckie, za doskonałe i efektowne symbole, ale nic więcej. Mówię to nietylko o ludziach obojętnych pod względem religijnym, ale o tych, którzy uważają za wierzących. Inną bowiem rzeczą przesada i wyciąganie przy każdej błahej sposobności djabła za ogon z kąta—jak wyrażał się ś. p. Władysław Reymont — a zgoła inną znajomość materjału, odnoszącego się do tej dziedziny, a zawartego w tak olbrzymiej ilości w pismach Ojców Kościoła. O ile wyżej stał pod tym względem od wszystkich niemal współczesnych pisarzy polskich, z wyjątkiem może jednego Józefa Jankowskiego — wielki twórca „Nieboskiej".

Odziedziczony po pokoleniu poprzednim agnostycyzm, poza ignorowaniem lwiej części nauki Kościoła, zawiera jeszcze jedno niebezpieczeństwo istotne — nieznajomość sił ciemnych, nieskończone trudności w oddzielaniu plewy od ziarna, oraz, gdy się nawet dostrzegło wiszący cień — szamotanie się w poszukiwaniu obrony, jak nam dał tego przykład Stefan Żeromski, jeden z najczystszych w pragnieniach swoich i z najnieszczęśliwszych duchów na ziemi.

Żyjemy w mrokach, a życie samo przynosi nam niekończące się objawy sił, które staramy się napróżno zrozumieć. Zrobiono już coprawda wyłom, o którym wspominaliśmy wyżej — dostrzeżono nareszcie skrystalizowany wyraźnie w Rosji sowieckiej zwid Antychrysta. Ci, którzy mają oczy otwarte, wprowadzili to pojęcie do literatury i dziennikarstwa. Lecz co się stało? Antychryst bolszewicki stał się symbolem — istota rzeczy już się zaczyna gubić we frazeologji codziennej, podchwycona, rozproszkowana, i zaretuszowana, że tak powiem, przez tysiące piór, czasem bezwiednie, a czasem z całą świadomością zacierających istotną wagę koncepcji.

Ale czyż tylko Rosja? Spójrzmy bacznie wokoło.

Walka z katolickiem podłożem kultury panoszy się na całej linji. We Francji, a w zaczątkowej formie i u nas, rozwija się akcja, prowadzona świadomie i energicznie, celem wydarcia duszy dziecka już nietylko z pod wpływu duchowieństwa, ale nawet rodziców. Na kongresie nauczycielstwa w Rennes, w sierpniu r. b. zakazany jakiś „profesor filozofji" proklamował *magnam chartam* obywatelskich praw dziecka, „ani większych ani mniejszych, aniżeli prawa rodziców". W myśl tej teorji, nie wolno jest narzucać dziecku ani poglądów religijnych, ani militarystycznych, choćby rodzice sobie tego życzyli. Wolno zaś, i należy dążyć do tego, aby w umysłowości młodzieńczej stworzona została *tabula rasa*—niechże młodzi decydują, gdy dorosną, o rzeczach, o których wszyscy nie będą mieli najmniejszego pojęcia. Wolno zaś jest, wedle rozchodzącego się w 50.000 egzemplarzy komunistycznego pisma fachowego *„L'Ecole émancipée"* siać zarzewie nienawiści klasowej, antymilitaryzmu i innych bolszewickich nowalij. Teorja „praw dziecka" znalazła na kongresie aplauz ogólny. Nauczycielstwo francuskie, które świeżo właśnie zgłosiło swój akces do komunizującej Konfederacji Pracy (urzędnicy państwowi!) podminowane jest w 90%. Jak będzie wobec tego wyglądało pokolenie następne?

Drugi przykład: Kongres Wolnomyślicieli francuskich w Reims, również w sierpniu b. r., powziął szereg wysoce charakterystycznych uchwał — m. in. żądanie, by duchowieństwo i kongregacje wyłączone zostały zupełnie ze szpitalnictwa, pozbawione prawa nauczania, nawet prywatnego, noszenia sutanny i habitu, a nawet kwestowania w kościołach, oraz przebywania w zakładach publicznych i na okrętach w charakterze „zawodowym", czyli niesienia umierającym pociechy religijnej. Poco tu komentarze? Czyż nie wiadomo np., że szpitale francuskie, w których „pracują" pielęgniarki świeckie, wyglądają przeważnie jak domy rozpusty?

Trzeci przykład: minister oświaty i wyznań religijnych p. Edward Herriot jedzie uroczyście do La Rochelle, odsłonić pomnik bogoburcy Emila Combes, człowieka, któremu Francja zawdzięcza największą swą krzywdę, wyrzucenie na bruk 19.000 zakonników, zburzenie 400 kościołów, zamknięcie kilku tysięcy szkół, etc.

Poco jednak szukać przykładów tego rodzaju, odnoszących się do poszczególnych wypadków? Sięgnijmy do szerszych tematów — a więc przedewszystkiem: socjalizm najrozmaitszych odcieni — operowanie na przynętę hasłami utylitarnemi i świadomą utopją, nie mając bynajmniej na celu zapowiadanej uryczyście dyktatury proletarjatu, ani powszechnego dobra, a zawsze i jedynie dorwanie się do władzy i we wszystkich fazach walkę z chrześćjaństwem. Rozwodzić się nawet nad tem nie warto.

Dalej: szerzenie sekciarstwa, okultyzmu, teozofji; spirytyzmu, tysiąca innych prądów, znajdujących swój wyraz na kongresach takiego rodzaju, jaki widzieliśmy przed kilku tygodniami w Paryżu: *L'Internationale des Amis de l'Ordre Spirituel* — Międzynarodówki Przyjaciół Rytuału Duchowego, która ma wyłonić Centrum Sumienia Światowego, oparte na „hypotezie istnienia Boga". W tej dziedzinie bliscy już jesteśmy masonerji niższego stopnia, złożonej przeważnie z poczciwców, którym ani się śni, na podwórku jakiego kościoła znaleźli się niebacznie. I niema co się dziwić — usypiani są zręcznemi słówkami, są narzędziami innych — a ów „kościół" na sto spustów zamknięty, ukryty jest dokładnie przed ich oczyma. Więcej nawet — wmawia się w nich, że dochodzące jednak czasami zzewnątrz informacje o istotnem podłożu czarnej mistyki lóż są wierutnem kłamstwem, wymyślonem przez oszczerców.

Spójrzmy w inną dziedzinę — w świat fakirów indyjskich, w obrządki lamaickie, w głuchą nienawiść mordującego misjonarzy chińskiego stowarzyszenia San Ho Hei będącego w kontakcie z Suwerennym Trójkątem Wszechświatowej Loży Naczelnej w Charlestonie w Stanach Zjednoczonych. Spójrzmy wreszcie w mroki sekt niezliczonych, grasujących w Rosji, często nawet budzących się samorzutnie, bez wpływu ludzi cywilizowanych; spójrzmy wreszcie na takiego Rasputina, typ wcielony impostury najczystszej wody, rozwalającego Rosję z imieniem Matki Boskiej na ustach?

Czyż nie dość tego, by zobaczyć i siebie samych, i cały świat dzisiejszy w tym kręgu potęg ciemnych, których uświadomienie samo nie jest do pomyślenia bez tej pomocy, którą okazać jest w stanie jedynie Kościół Rzymski? Czyż nie dosyć tego, żeby pojąć, że

nawpółślepa nasza orjentacja dotychczasowa jest chwiejna i że nasze wiadomości z zakresu mistyki katolickiej są przerażająco ubogie? Że daliśmy sobie wyrwać z serc klucze, które ojcowie nasi dzierżyli kiedyś dłonią silną i wierną. Ojcowie, którzy między jedną wojną, a drugą jeździli kiedyś do Assyżu, jak ów podkomorzy Korwin Piotrowski z Miłaszyszek, zaczerpnąć u źródła i przywieźć relikwiarzyk z kosteczką świętego Biedaczyny...

Odeszliśmy już od tego daleko. A jednak trwa wciąż, żywa po wsze czasy koncepcja ducha polskiego, osłaniającego błękitny Rzym. Niedawno jeszcze z serc polskich wyszła inicjatywa ogromna, głośna dziś w świecie całym: koncepcja kultu Serca Jezusowego, kultu ustanowionego na wniosek Biskupów polskich. Zdobyliśmy się na to dzieło jednej z najżywszych afirmacyj w dziedzinie wiary. Stać nas i na dostrzeżenie szturmu mocy zaprzecznej. Niedość jest przeczuwać jedynie oplątującą dziś zwolna ludzkość SIEĆ ANTYCHRYSTA. Myśl polska winna nazwać dziś go po imieniu. Myśl polską, szczycącą się Krasińskim i Mickiewiczem, stać na to, by wykazała światu, że ludzkość chyli się coraz bardziej w niewolę tych, którzy wypisali na tarczy, ukrytej wstydliwie: *Labor*, *Ubertas*, *Caritas*, *Ignis*, *Felicitas*, *Emancipatio*, *Ratio*. Łatwo jest odczytać wyraz tajemny, tworzący się z pierwszych liter tych słów. Trudniej przełamać pleśń nagromadzonego celowo złudzenia. Trudniej zedrzeć z dobrowolnie ślepych oczu ślepotę. Trudniej jeszcze wykazać, że mylił się Carducci w swym INNO A SATANA, wołając: *Hai vinto il Geova de i Sacerdoti*. A najtrudniej, najciężej nieść ów siew prawdy polskiej i rzymskiej słaniającemu się w niemocy światu.

EDWARD LIGOCKI

ZADUSZKI

Między groby, nieciekawe, bo obce,
Co roku, dróżką tą samą,
Malutką,
Szłam z Tatkiem i Mamą
W Zaduszki,
Z wiankami,
Za nami obie staruszki.

Widzę ich wszystkich, jak dzisiaj!

Ciocia, przygarbiona ku ziemi,
Kłębuszek w sutem futerku lisiem
I Babcia — z wargami jakby pacierzem drżącemi
Bez przerwy,
Prosta — w czarnej aksamitnej salopce.

Do Grottgera szło się zawsze najpierwiej.

Wiedziałem, że Mama,
Nim ucałuje kamień,
Nim na grobie rozłoży wieńce,
Wpierw zawsze zdejmie rękawice,
Z płyty i obramień
Śnieg miałki dłońmi odgarnie,
Wyjmie zapałki i świece
I sama zapali latarnię.

Tak dobrze pamiętam jej ręce,
Ręce z Lithuanii i Wojny!

A potem dalej drogą,
W górę, wśród ciżby rojnej,
Ścieżką co w prawo skręca,
Do prababki i pradziadka Wentza.

Znałam ich tylko jak z cieni:
Dwa czarne w ramkach profile,
Gdy blisko nie było nikogo,
Z nad łóżka cioci Tereni,
Do ciepłej, dziecinnej dłoni,
Pośpiesznie brane na chwilę,
Ze sercem trwogą płoszonem.

Wiedziałam, że czarny ten pan
Bił się z Napoleonem
I długo umierał z ran.

A potem już tylko oni,
Ci, co pomarli maleńcy,
Braciszek Bolcio i siostrzyczka Joczka,
Co mieli duże niebieskie oczka
I jasne włoski...

Zresztą — nikogo więcej.

A prawda! jeszcze ten w pobliżu,
Wąski grobek z paletą na krzyżu
Z napisem: Marcel Maszkowski.

Tatka przyjaciel, kolega,
Mieszkali razem w Monachium,
Rysował — jak nikt:
Sławnie tańcował mazura,
Brakło mu wciąż na czynsz i na wikt,
Ale humor miał złoty...
(Teka z jego szkicami to ta wąska, bura!)
Wszyscy go lubili pasjami...

Umarł dawno, młodo, na suchoty.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Co roku w Zaduszki,
Idę tą samą drogą,
Lecz niema już ze mną nikogo
Na szlaku stromej dróżki.
Nim kiedyś także tu spocznę,
Zapalam światła coroczne
Sama.

Śpią wszyscy... Ojciec i Mama,
Śpią obie dobre staruszki
I tyś tu spoczął — i ty!
Wy wszyscy moi, których mi pamięć jasna
Jak płomyk bez przerwy
Drży.

Do Grottgera idę zawsze najpierwiej.

Lwów

MARYLA WOLSKA

LIBERUM VETO

Cud przez nikogo nieoczekiwany. — Jego sprawcy. — Obrońcy narodu. — Fałszowanie prawdy i kradzież zasługi. — Jak skorzystaliśmy z daru losu. — Pracownicy i gracze.

DNIA 11 listopada 1918 r. zaszedł jeden z największych wypadków w historji powszechnej i polskiej. Potężne Niemcy, a w nich z grabieży ziemi i ludów rozrosłe Prusy, które od pół wieku gniotły Europę swoją siłą i zarażały swoim wpływem, które od półtora wieku bądź trzymały naród polski w niewoli, bądź pomagały do gnębienia go, pokonane w olbrzymiej wojnie stanęły pokornie przed zwycięskim jej wodzem, prosząc o pokój. Jednem z następstw tego pogromu było wskrzeszenie Polski, o którem przed tą chwilą nikt nie myślał i nie marzył, w które pod tą datą nikt nie wierzył. Przepowiadali je nasi poeci romantyczni, ale i ich wieszczba była raczej pragnieniem niż rachubą i odsuwała się w przyszłość daleką, nieznaną. Ażeby na początku XX stulecia trzy wielkie mocarstwa zostały rozbite i trzy ich zabory złączone w jedno państwo niepodległe, tego nikt nie przypuszczał. Mogło to być tylko dziełem nadzwyczajnego cudu, który leżał po za granicami najbujniejszej fantazji. Komu go zawdzięczamy?

Zbyt ten cud jest olśniewającym, ażeby nie zbudził chęć przywłaszczenia sobie bodaj części jego blasku. Wielkie czyny, jak bogate skarby mają swoich złodziejów, którzy podkopują się pod nie, ażeby ukraść jakąś część chwały. Okazało się to i w obecnym wypadku. Ale nasz czas nie jest porą do tworzenia legend i rozsiewania fałszów, ma on już bardzo mało kryjówek dla tajemnic publicznych i umie je otwierać. Historja współczesna do tkania swoich opowieści posiada przeważnie przędzę jasną, a sztuka przyczepiania do prawdy ciężarków ołowianych, ażeby w potoku zdarzeń spadła na dno, już dziś nie starczy na długo. Dramat wielkiej wojny ma bohaterów widocznych. Na pierwszym planie stoi zwycięski jej wódz — Foch. Gdyby jego genjusz nie zmógł niemców, panowaliby oni dziś nad światem z nieobliczalnemi skutkami ich pychy, chciwości i gwałtu, Polska pozostałaby potrójną niewolnicą bez nadziei wyzwolenia. Obok Focha zajął miejsce „nieznany żołnierz“, który był piorunem w ręku pogromcy. Około nich naczelnicy rządu francuskiego i Wilson, który pierwszy postawił w warunkach traktatu żądanie wskrzeszenia państwa polskiego. To jest główna grupa jego zbawców.

Ale najżyczliwsze ich chęci nie dałyby nam tego, co otrzymaliśmy jako cud, gdyby z naszej strony nie było natężonych zabiegów o możliwe wyzyskanie szczęśliwego położenia. To jest wyłączną, niedość ocenioną a natomiast niegodnie zmniejszaną przez rabusiów cudzej chwały zasługą Komitetu Narodowego w Paryżu. Nędza umysłowa i moralna, jak nędza materjalna, jest zawsze łakoma, zazdrosna i niesprawiedliwa. Nie może scierpieć cudzej wielkości i pragnie całą lub częściowo wydrzeć, jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla kogoś innego, aby tylko zubożyć tego, komu raz się należy. Tak zachowali się wobec Komitetu narodowego nie tylko ci, którzy chcieli a nie umieli mu pomagać, ale nawet ci, którzy mu się przeciwstawiali w sojuszu z Niemcami. Przez dziesięć lat odbywa się u nas fałszowanie prawdy, przerabianie wad na przymioty a win na cnoty, wywabianie plam z pokalanych charakterów, ale ta robota tylko wzbija kurz, który się rozwiewa i zasłania chmurami słońce, co nie przestaje świecić. Było to wypadkiem zupełnie naturalnym, że połączenia wszystkich ziem polskich w państwie niepodległem mogły się domagać jedynie żywioły, opierające swoją politykę na gruncie narodowym. Nie mogły tego żądać i o to się starać żadne internacjonalizmy, socjalizmy, komunizmy i wogóle to stronnictwa, które nie wierzą w żywotność i potrzebę państwa narodowego, dla których Polska nie jest swoistym organizmem, lecz akcyjną spółką polityczną. W obecnym stanie ciągną one z niej poważne korzyści, przydaje im się również zniepràwienie opinji społeczej skłamaniem swej zasługi, ale gdyby nawet Szawłowie zamienili się na Pawłów, nie przemienią swojego oporu i przeciwdziałania w przeszłości na współdziałanie. Najgrubsze maski stają się po pewnym czasie przejrzyste.

W uroczystym dniu rocznicy odzyskania niepodległości nie można omijać pytania, jak my skorzystaliśmy z tego cudu i daru? Niestety ścisła odpowiedź jest bardzo smutna. Obsieliśmy rozmaite dziedziny życia ziarnem dobrem, a nawet już zebraliśmy plony obfite, ale one nie dorównywają ani naszym potrzebom, ani naszym obowiązkom.

Przez otwartą bramę niepodległości wdarł się na wszystkie miejsca wpływu i dostatku zmieszany tłum, w którym przeważał umysłowy i moralny motłoch, umiejący najprędzej biedz, najsilniej odpychać, obalać i tratować współzawodników, najgłośniej krzyczeć i najbezwstydniej rabować. W ciągu dziesięciu lat ten motłoch przerzedzono, ale pozostały jeszcze znaczne jego ilości. Wyrządził on narodowi nieobliczalne szkody: rozgrabił mu mienie, rozstroił go bezprawiem, osłabił siłę, powstrzymał rozwój i ukradł mu radość przejścia z niewoli do niepodległości. Wszyscy bez wyjątku, bo nawet ci, którzy byli sprawcami złego, muszą przyznać, że inaczej wyobrażali sobie Polskę odrodzoną, niż ta, która została wyzwolona. Zwłaszcza zaś te pokolenia, które najdłużej cierpiały mękę ucisku i które wyrosły w atmosferze marzeń poezji, utrzymującej społeczeństwo w nastroju rojeń idealnych, doznały strasznego rozczarowania, które dotąd wsącza w ich dusze gorycz, a niekiedy przejmuje rozpaczą. Byłoby niesprawiedliwością i przesadnym pesymizmem twierdzenie, że wolna Polska niebezpiecznie choruje i umiera; owszem jest ona w istocie swej zdrowa i w niektórych kierunkach wzmocniła swoje siły. Ale cała suma tych dodatnich nabytków nie wystarcza na potrzeby narodu i państwa. Wytworzył się panujący nad innymi typ polaka gracza, który nie pracuje i nie działa z myślą o społeczeństwie, nie szanuje prawa i nie przestrzega uczciwości, który tylko spekuluje przeważnie na rachunek własny a niekiedy ogólny. W polityce, w literaturze, w instytucjach publicznych, w przedsięwzięciach prywatnych wszędzie odbywa się hazardowna gra dorobkiewiczów i ryzykantów. Gromada chciwych rządzenia lub dostatku, a nieumiejących władać i pragnących skokami zdobyć wyższe stopnie karjery, rzuca się bez planu i ładu w urzeczywistnianie doraźnych pomysłów, obliczonych na krótką odległość. Ten typ występuje najliczniej w większych miastach a zwłaszcza w stolicy. Prowincja pracuje najwytrwalej i najowocniej w gospodarstwach rolnych, fabrykach, warsztatach rzemieślniczych, urzędach. Włościanin w ciężkim trudzie i ubóstwie wytęża swoje siły aż do wyczerpania na uprawę ziemi, na wydobycie z niej środków dla skromnego życia, opłacenia uciążliwych podatków i walki z morderczą drożyzną; ziemianie folwarczni chwytają i stosują wszystkie nowe pomysły udoskonaleń gospodarczych; producenci w przemyśle wielkim i małym starają się o powiększenie wydajności pracy; kierownicy samorządów tworzą instytucje spo-

łeczne i podejmują przedsięwzięcia publicznego pożytku; urzędnicy, o ile im pozwala plątanina biurokratycznej formalistyki, załatwiają sprawy gorliwie i śpiesznie. Oczywiście, ten ruch życia społecznego odbywa się nie wszędzie i nie z jednakowem napięciem, ale trwa całym kraju, a w wielu miejscach daje znakomite wyniki. Przyzwyczajeni do widoków lenistwa i niedbalstwa, zdumiewamy się nieraz, spostrzegłszy okazale zbudowane i hojnie uposażone szkoły sejmikowe, szpitale miejskie, drogi bite, rzeki uregulowane, oświetlenia i motory elektryczne, spółdzielnie spożywcze i inne organizacje użyteczności publicznej. Tylko Warszawa mało pracuje, a wiele gra. Jest to jak gdyby ogromny klub karciano-ruletowy, w którym roznamiętnieni gracze walczą o władzę, wysokie stanowiska, korzystne posady, rozległe wpływy, zyskowne przedsiębiorstwa i zaszczyty, w którym praca, dobro społeczne, przyszłość narodu są względami ubocznemi, przypominającemi się nie w ciągłem poczuciu obowiązku, ale w przerywanych wyrzutach sumienia. Gdy wsłuchamy się uważnie w głos skarg opinji publicznej, zauważymy łatwo, że one przeważnie odnoszą się do stolicy. Mózg tej czaszki organizmu państwowego jest paralityczny, przeżarty namiętnościami samolubstwa, ożywiający się chwilowo pobudkami chwilowemi. Warszawa nastraja się idealnie i patrjotycznie tylko dla obchodów, pochodów, rocznic, manifestacyj, poza temi widowiskami teatralnemi gra.

Tak wygląda życie Polski po dziesięciu latach niepodległości.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ROCZNICE

ZBLIŻAJĄ się dni, przypomina ące swoją datą że dziesięć lat temu o tej porze spędziliśmy z ziemi polskiej resztki obcej nad krajem przemocy. Data jest oko-licznością tak formalną, że wszyscy ją stwierdzić mogą swoim udziałem w tem święcie. Ale różna jest skala uczuć i prawdy wewnętrznej w rozpamiętywaniu tej rocznicy u ludzi, dla których to wielkie zdarzenie było przypadkiem zewnętrznym i u ludzi, którzy nad sprawą zjednoczenia i niepodległości pracowali w najwyższem napięciu świadomości celu i środków.

Nie dla pustego manifestowania radości lub zasług, ale z potrzeby uprzytomnienia sobie związku między teraźniejszością a drogą przebytą, pragniemy w „Myśli Narodowej" pewną część miejsca w końcowych zeszytach tegorocznych poświęcić rocznicy tego szczęsnego faktu historycznego.

Jednocześnie przypada 20-a rocznica śmierci Jana Popławskiego, który położył wielkie zasługi w czasach budzenia się nowoczesnej myśli politycznej. Zasługa Popławskiego wiąże się ściśle z faktem odzyskania przez naród niepodległości.

Najmłodsze pokolenie, wstępujące teraz w szranki życia publicznego, składa mu w tych dniach hołd przez wmurowanie tablicy pamiątkowej w domu, w którym zmarł Popławski (al. Jerozolimskie 20 w Warszawie) i przez wykłady o nim na specjalnej akademji.

W tem wiązaniu się ideowem nowego pokolenia z Polski już niepodległej ze starem, które ideę szczepiło wtedy, gdy społeczeństwo zaledwie marzyć mogło o niepodległości, leży sprawdzian trafności my- poli-tycznej, wysnutej z idei Popławskiego. Mamy w tem dowód i wielkie pokrzepienie moralne, żeśmy weszli na właściwe tory rozwoju, że obozem narodowym kieruje myśl żywotna, obowiązująca nowoczesne niepodległe życie państwowe.

SANACJA I WYCHOWANIE

W JEDNEJ ze szkół państwowych zebrano uczenice wszystkich klas do jednej sali, aby im wyłożyć ideę obchodu dziesiątej rocznicy niepodległości Polski. Przełożona szkoły oznajmiła, że liczne są żądania, aby dla uczczenia tej rocznicy rozwiesić po klasach portret obecnego ministra spraw wojskowych. Gdyby do tego doszło i gdyby dało się zauważyć wśród uczenic objawy niezadowolenia, władze szkolne postąpią z całą surowością prawa relegacji. Przełożona zapewnia, że szanuje wszystkie przekonania polityczne, więc w pewnym pochodzie, który jest projektowany, udział będzie dobrowolny, ale która uczenica nie będzie chciała uczestniczyć, musi o tem osobiście przełożonej zameldować.

Czy to jest właściwy sposób przygotowywania dzieci do uroczystości narodowej? Mamy na myśli rodziny z tej sfery, które sobie zdają sprawę z zadań wychowania narodowego w szkołach, dla których przytem sama rocznica miała być czemś radosnem, okazją rozpamiętywania wielkiej daty w życiu narodu.

Pogróżki takie, jak owej przełożonej, świadczą o niesłychanem rozpolitykowaniu wychowawców przez sanację, zajętą bez skrupułów jedynie agitacją na rzecz swoich celów. Robią one popłoch w społeczeństwie, cała bowiem sprawa obchodu wiąże się tylko z jedną myślą, jakby z niej wyjść cało i uniknąć wydalenia ze szkoły.

Sądzimy przeto, że władze szkolne wyprostują trochę w głowach wychowawców pogląd na znaczenie obchodu i poskromią żarliwość sanacyjną, szerzoną, chcemy wierzyć, bez wiedzy władz przez jakąś agitację.

Należy to uwzględnić, że rodziny polskie z tradycją pamiętają czasy przedwojenne, które boleśnie z takiemi wystąpieniami dzisiejszych wychowawców się kojarzą. Rodzina polska znalazła się w bardzo trudnem położeniu. Nie było ono takie trudne w czasach dawnych galówek, bo wtedy wychowywało się dzieci tak, żeby się nie poddawały wpływom wychowawców. Była walka ze szkołą. Ale teraz znowu mamy dzieci mobilizować przeciw szkole, uczyć je polityki, taktyki obronnej, wykrętów, kłamstwa? A przedewszystkiem korygować im w głowach pojęcie wyniesione ze szkoły o tem, czem są dzieje narodu, czem wielkie rocznice?

NA ŚLĄSKU PRZED 25 LATY

ZNACZNA część Śląska pruskiego została wcielona do państwa polskiego na podstawie plebiscytu ludności. Fakt, że poczucie solidarności z narodem polskim i chęć należenia do państwa polskiego zrodziły się w kraju, który przed wiekami odpadł od Polski, jest wielkim triumfem naszego narodu. Zjawisko to ma oczywiście swoją historję i czytelnikom naszym przypomnieć chcemy jeden z jej epizodów, który zaszedł właśnie przed 25 laty.

Do końca wieku XIX „ruch polski" na Śląsku był raczej językowym, etnograficznym. Zabiegano o zachowanie języka, o tworzenie miejscowej literatury polskiej, co oczywiście było koniecznym poprzedni-

kiem ruchu polityczno-narodowego, ale tylko poprzednikiem. Faktem jest, że w owym czasie wszystkie zebrania polskie kończyły się okrzykami na cześć Ojca św. i cesarza niemieckiego, pisma zaś polskie stały nader lojalnie na stanowisku państwowości pruskiej. Nie starano się nawet o solidarność polityczną z wchodzącemi również w skład państwa pruskiego Wielkopolską i Pomorzem. Ludność polska tych dwóch prowincyj wybierała posłów, którzy w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim tworzyli samoistne „Koło Polskie". Na Śląsku tymczasem wybierano posłów do niemieckiej partji katolickiej, czyli t. zw. centrum. Zdarzały się czasem zatargi między katolikami polskimi a niemieckimi co do osoby kandydatów. Tak np. ś. p. major Szmula i adw. Radwański byli w swoim czasie wybrani na posłów przeciw niemieckim kandydatom katolickim ks. Nehrlichowi i bar. Huenemu, ale zarówno Radwański, jak i Szmula należeli w parlamencie do klubu centrowego.

Jeżeli przypomnimy sobie „trójlojalistyczny" nastrój popowstaniowego społeczeństwa polskiego we wszystkich dzielnicach, to nie będzie nas dziwił nastrój śląskiej inteligencji polskiej. Ale pod koniec wieku XIX nowy ruch narodowy („wszechpolski") opanował młode pokolenie, które znowu niepodległość postawiło na czele swego programu politycznego. Ruch ten znalazł oddźwięk i śród młodej inteligencji polskiej na Śląsku. W r. 1901 utworzyła się na Śląsku grupa, która rozpoczęła ruch polityczno-narodowy pod hasłem jedności Śląska z całym narodem polskim i prawa narodu polskiego do bytu samodzielnego. Zewnętrzną realizacją tych haseł miał być wybór posłów ze Śląska, którzyby wstąpili do Koła Polskiego w Berlinie, jako do reprezentacji narodu. Organem tego kierunku było pismo „Górnoślązak", wydawane przez Korfantego i Kowalczyka.

Nowy ruch narodowy zwalczały brutalnie władze niemieckie, zwalczało zaciekle duchowieństwo śląskie, zwalczał gorliwie „Katolik", organ nieżyjących już dziś pp. Napieralskiego i Dombka. Niechętnie lub sceptycznie oceniało go i wielu działaczy polskich z innych zaborów. Krakowski „Czas" zaś bez ceremonji, nie oglądając się na możliwe skutki policyjne, młodych działaczy narodowych na Śląsku nazywał członkami tajnej Ligi Narodowej.

Natomiast w obozie wszechpolskim powitano z zapałem nowy ten ruch śląski. Piszący te słowa przypomina sobie dokładnie, jak się interesował nim i znaczenie jego tłumaczył innym śp. Jan Ludwik Popławski, przypomina też sobie, jak młodzi działacze z Małopolski jeździli na Śląsk dla zapoznania się osobistego z działaczami tamtejszymi i okazania im pomocy w miarę możności.

Wybory pod nowemi hasłami odbyć się miały w maju 1903 r. Wybitni działacze innych dzielnic, jak Osuchowski z Warszawy, oraz Bernard Chrzanowski i Roman Szymański z Poznania przyjeżdżali specjalnie dla pojednania dwóch odłamów polskich na Śląsku. Zabiegi ich okazały się daremne, „Katolik" był wrogiem nieugiętym.

Wybory w okręgu katowicko-zabrskim nie dały na razie wyniku stanowczego, doszło do wyborów ściślejszych między kandydatem centrowym, radcą sądowym Latochą z Berlina a kandydatem polskim, Wojciechem Korfantym. Zwyciężył Korfanty i wszedł do Koła Polskiego, jako pierwszy poseł polski z Górnego Śląska. Cała Polska narodowa odczuła to zwycięstwo jako własne i niewątpliwie było ono niezbędnym krokiem, bez którego nie mógłby po wojnie nastąpić pomyślny dla nas plebiscyt na Śląsku.

Duchowieństwo śląskie z ks. Kard. Koppem na czele chciało się zemścić na Korfantym i urządziło mu złośliwego figla. Korfanty miał zamiar wstąpić w związki małżeńskie zaraz po wyborach. Proboszczowie w Katowicach i Bytomiu przyjęli zapowiedzi, w dn. 30 czerwca (zgodnie z wymaganiem prawa niemieckiego) odbył się ślub cywilny, nazajutrz zaś 1 lipca miał się odbyć ślub kościelny. Tymczasem właśnie już po zawarciu ślubu cywilnego, proboszcz bytomski zawiadomił p. Korfantego, że na naradzie księży postanowiono, iż Korfanty nie może w żadnym razie otrzymać uroczystego ślubu, ślub zaś cichy bez organu, śpiewu i gorejących świec w takim tylko razie, jeśli publicznie odwoła wszystko, co w „Górnoślązaku" pisał przeciw duchowieństwu. Korfanty na te warunki się nie zgodził, duchowieństwo jednak również nie ustępowało. Po wielu bardzo interesujących epizodach i zabiegach, ślub Kofantego odbył się w październiku tegoż roku w Krakowie. Niedość na tem, ks. Kardynał Kopp wysłał zażalenie do Rzymu, żądając unieważnienia ślubu. Proces trwał półtora roku, ale ostatecznie skargę Kard. Koppa odrzucono.

J. HŁ.

Z ŻYCIA MASONERJI

„*Israelitisches Wochenblatt für die Schweitz*" przyniósł niedawno interesujące szczegóły o prozelityźmie żydowskim wśród kolorowych ras Stanów Zjednoczonych. W Nowym Yorku istnieje mianowicie murzyńska synagoga żydowska, nosząca nazwę *Beth Bnei Abraham* (dom synów Abrahama). Kierownikiem jej jest murzyn z Indyj Zachodnich; matka jego była żydówką, ojciec zmieniał, zdaje się, kilkakrotnie religję, syn kształcił się pod kierunkiem uczonego żyda z Egiptu. Podobno jednak wśród murzynów dzielnicy Harlen w Nowym-Yorku istniały już, spowodowane szerzeniem judaizmu wśród murzynów, rozruchy.

2. *Deutschbund* powziął niedawno 95-ma głosami przeciw 17-u następującą uchwałę: „Masoni nie będą przyjmowani do Związku. Ci z masonów, co są już członkami Związków, mają wystąpić ze swojej loży, o ile nie są w stanie narzucić jej rasowo-narodowych (*rassisch-völkischen*) zapatrywań". Należy przyznać, że ostatnie zastrzeżenie świadczy o pewnej naiwności *Deutschbund*'u.

3. Prasa katolicka włoska podaje informacje o związkach „Przyjaciół Dzieci", rozwijających się szeroko w Austrji i w Czechach. Związki te prowadzą propagandę na rzecz bezwyznaniowości szkoły. Urządza się więc dla dzieci w czasie nabożeństw niedzielnych wycieczki, połączone z szeregiem atrakcyj i z obchodami kultu przyrody; w pochodach dzieci niosą tablice z napisem: „Precz z religją w szkole"; jedno z wydawanych przez Związek pisemek dla dzieci nosi tytuł: „Młodzież bez Boga" (*Gotlose Jugend*). Związek „Przyjaciół Dzieci" liczy w samej Austrji 95.000 członków i obejmuje 200.000 dzieci, nie licząc 5.000 „Czerwonych Sokołów", którzy się z nim połączyli. Należy jednak przyznać, że pierwsza z tych cyfr wydaje się być mocno przesadzoną. Bibljoteki Związków mają liczyć do 31.000 tomów, w ostatnich latach zorganizowano 65 kursów o liczbie 2000 słuchaczy.

4. Mało komu znany jest fakt, że wśród różnego rodzaju związków międzynarodowych również „Powszechny Związek międzynarodowej przyjaźni, propagowanej przez Kościoły" (*Alliance universelle*

pour l'amitié universelle par les Eglises). Związek istnieje conajmniej od trzech lat, skoro trzy lata temu organizował pierwszy zjazd, który odbył się w Sztokholmie. Członkowie jego składają się przeważnie z duchownych. Na zjazd tegoroczny Związek ów zaprosił Alberta Thomasa, szefa Międzynarodowego Biura Pracy, będącego, jak wiadomo, socjalistą. Thomas na zjazd nie pojechał, posłał jednak swego przedstawiciela. W Mannhein odbył się w sierpniu zjazd świeżo założonej partji „religijnych socjalistów".

5. Niezwykle ciekawy artykuł, dotyczący dziejów masonerji wśród Ukraińców ogłosił ruski tygodnik katolicki „*Nowa Zorja*". Według niego, masonerja była nadzwyczaj rozpowszechniona i wpływowa w wieku XVIII na kresowych ziemiach polskich w województwach: podolskiem, bracławskiem, kijowskiem i wołyńskiem, zwłaszcza wśród tamtejszego ziemiaństwa, które wywierało przemożny wpływ na losy Rzeczypospolitej. Stamtąd przenikała ona na lewobrzeżną Ukrainę, gdzie wówczas pod rządami Katarzyny II zamierały ostatki kozactwa zaporoskiego.

Masonami byli: ostatni hetman kozacki Cyryl Razumowski, jeden z największych poetów ukraińskich J. Kotlarewskij i wielu innych. Jeszcze większą rolę odgrywali masoni na Zadnieprzu w pierwszem ćwierćwieczu zeszłego stulecia. Cała ówczesna akcja rewolucyjna była przez nich inspirowana i prowadzona.

Po ostatniej rewolucji rosyjskiej następuje odrodzenie masonerji wśród Ukraińców. Należy do niej znaczna liczba działaczy politycznych ruskich; należał do niej najwybitniejszy ze współczesnych przywódców ruchu ukraińskiego, ataman Petlura, zamordowany w r. 1927 w Paryżu. Autor artykułu twierdzi, że już w pierwszym okresie swej pracy na Ukrainie masoni prowadzili energiczną pracę nad odebraniem cerkwi szkolnictwa, stworzeniem szkoły świeckiej, oraz usunięciem wpływów duchowieństwa na oświatę. Już wówczas podkopywali oni w ludzie szacunek dla religji i cerkwi, propagując niewykonywanie praktyk religijnych.

Do rewelacji powyższej „Słowo pomorskie" dodaje uwagę:

„Ileż to ciekawych rzeczy odsłonićby nam mogły dzieje masonerji na Ukrainie. Czyż nie zrozumiałem stanie się charakterystyczne przejście Petlury i jego wojsk na stronę polską, bezpośrednio niemal z obozu nieprzyjacielskiego. W roku bowiem 1918/19 wojska atamana Petlury stawały zbrojnie przeciw obrońcom Lwowa i Małopolski Wschodniej. Kwatery ich bojowe znajdowały się: w Tarnopolu, Stryju, Drohobyczu pod jednym dachem z wojskawi siczowemi Habsburga, Wasyla Wyszywanego, kandydata na króla Ukrainy zachodniej. A w roku 1920 tenże sam Petlura maszeruje w jednym z nami szeregu na... Kijów.

W dziejach i roli masonerji ukraińskiej leży klucz zagadki tych zaciekłych ataków „Ukrainy" na Polskę, ataków, które niejednokrotnie były dla nas zupełnie niezrozumiałe i nieuzasadnione zarówno ze względu na swą koncepcję, jak i zaciętość.

W lożach masońskich szukać należy również klucza do owej niezrozumiałej dla Polaka zagadki, zwanej — federacją — atutu, którym tak ślepo i bez zastrzeżeń dysponuje pewien obóz w Polsce".

6. Prezydent Calles, charakteryzując w czasie przemówienia na inauguracji nowej legistratury stosunki zagraniczne Meksyku zaznaczył, że „poprawiły się one znacznie ze wszystkiemi krajami, a zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonemi i z republikami Ameryki łacińskiej.

— „Wielce niekorzystny moment — mówił dyktator Meksyku — naszych stosunków zagranicznych ma swe źródło w propagandzie klerykalnej przeciwko Meksykowi, która przybrała wielkie rozmiary we Włoszech, Stanach Zjednoczonych, Brazylji, Kolumbji, Niemczech, Peru, Bel i, w Chile, Holandji, Hiszpanji, Argentynie, Urugwaju i w Anglji. Rządy każdego z tych państw aprobowały propagandę i współdziałały z jej rozwojem. Szczególnie we Włoszech propaganda ta przekroczyła wszelkie granice rozsądku, przyczyniając się do poważnego zamącenia stosunków między obu krajami". —

Jak widać, meksykański dyktator nie ma pretensji do Polski.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Góra i mysz. — Obrona bilansiu handlowego i zadania rządu. — Prace nad stworzeniem większości sejmowej. — Rokowania handlowe polsko-niemieckie.

ZBLIŻA się jesienna sesja sejmowa, a w prasie współpracującej z rządem, coraz ciszej o wielkich planach naprawy Konstytucji, o konieczności gruntownej przebudowy ustroju państwowego, oparcia go na no wych zupełnie (nigdy nie objaśniono: jakich? podstawach. U stóp wielkiej, stękającej góry coraz wyraźniej zaczyna się pokazywać przysłowiowy... mysi ogonek. Dzienniki donoszą już, że „zmiany w Konstytucji zostaną ograniczone do *minimum*... natomiast najistotniejsze zmiany będą się odnosiły do regulaminu obrad i prac sejmowych". Na „przełom" jakoś jeszcze się tedy nie zanosi...

Uwagę ogółu coraz bardziej zresztą zaprzątają nie zagadnienia ustrojowe, lecz gospodarcze, przedewszystkiem w dalszym ciągu niepokojąco zły stan bilansu handlowego. Minął okres bezmyślnej niefrasobliwości, buńczucznej pewności siebie, przedstawiciele rządu odwołują się w sprawie obrony bilansu do społeczeństwa, które, stwierdzić to z naciskiem należy, bez względu na różnice poglądów partyjnych przystępuje zgodnie do akcji w obronie polskiej wytwórczości.

Nie powinno się wszakże zapominać, że sama tylko akcja społeczna, propaganda pośród spożywców, ażeby nabywali jedynie polskie towary, bynajmniej sprawy ujemnego bilansu handlowego nie rozwiązuje. Jeszcze niedawno obecny premier, prof. Bartel, na współrzednych ortogonalnych wykazywał, jak dalece decydujący wpływ wywiera dziś u nas polityka rządu na całokształt stosunków gospodarczych w państwie. Rzeczywista obrona i wzmocnienie polskiej wytwórczości — to przedewszystkiem odpowiednia polityka rządu w dziedzinie kredytowej i podatkowej, jak również konsekwentne popieranie polskiego rolnictwa, przemysłu i handlu tam wszędzie, gdzie Państwo występuje w charakterze konsumenta.

Trudności gospodarcze są do pewnego stopnia wytłumaczeniem wzmocnionych zabiegów około stworzenia w Sejmie jakiejś trwalszej, popierającej rząd, większości. Jednym z etapów jest tu niedawny rozłam w Polskiej Partji Socjalistycznej, wywołany przez nowopowstałe pismo „Przedświt" oraz przez warszawski Okręgowy Komitet P. P. S., któremu przewodzi zdecydowany „piłsudczyk", poseł Jaworowski. Jak głęboko sięgnie rozłam i jakie wywoła skutki, trudno jeszcze dokładnie przewidzieć, wydaje się jednakowoż niewątpliwe, że zasilenie obozu „sanacyjnego" nową grupą o programie socjalistycznym doprowadzić musi do wzmocnienia wewnątrz tego obozu wpływów zdecydowanie lewicowych. Jasne jest zaś, że ten fakt z kolei dać może w wyniku zbliżenie obozu rządowego także z pozostałemi stronnictwami lewicowemi, nie wyłączając P. P. S. Wszak już w kilka dni po rozłamie, dokonanym przez posła Jaworowskiego, „Robotnik" pośpieszył zaznaczyć, że „w partji byli i są piłsudczycy, cieszący się powszechnem poważaniem".

Że zaś są i inne żywioły w Sejmie, gotowe przystąpić do tworzenia większości, przychylnej rządowi, tego dowodem oświadczenie przedstawiciela klubu żydowskiego, pos. Wygodzkiego, ogłoszone w wileńskim dzienniku żargonowym „Cajt“: „Jesteśmy siłą w kraju, jakiej rząd potrzebuje, a porozumienie się z nami jest może łatwiejsze, niż się sądzi“.

Rokowania handlowe polsko-niemieckie w dalszym ciągu napotykają na trudności. Pewne organy prasy usiłują przy tej okazji wmówić w opinję publiczną, że przyczyny trudności są raczej drobne: zła wola i upór przewodniczącego delegacji niemieckiej, dr. Hermesa lub kwestja wywozu z Polski świń. Szczegóły rokowań nie są dotąd podawane do publicznej wiadomości, w każdym razie należy wyraźnie zaznaczyć, że niema najmniejszych powodów, żeby w obecnych warunkach Polska zgadzała się na ustępstwa w sprawach o wiele od wywozu świń ważniejszych, jak przedewszystkiem sprawa osadnictwa niemieckiego w Państwie Polskiem. Opinja narodowa musi zająć bardzo zdecydowane stanowisko w tej sprawie.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

KRYTYKA PSYCHOANALIZY FREUDA

PSYCHOANALIZA przechodzi obecnie z fazy bezkrytycznych zachwytów jej zwolenników względem poglądów Freuda, którego zasługi dla nauki nawet stawiano na jednym poziomie ze zdobyczami Kopernika, Newtona i Darwina, w stadjum poważnych naukowych badań. Dotychczas psychoanalitycy zajmowali przeważnie wrogie stanowisko względem wszelkiej teorji, co więcej, chlubili się tem, że są empirykami, że doskonale się obchodzą bez teorji. W gruncie zaś rzeczy opierali się na nienaukowo opracowanych założeniach teoretycznych.

Otóż zbadaniem tych założeń zajął się w ostatnich czasach Dr. M. Nachmansohn[1]). Autor przedstawia najpierw psychologiczne i biologiczne podstawy teorji Freuda, a następnie poddaje je kolejno wyczerpującej krytyce. Omawiając podział i charakterystykę popędów według Freuda, dochodzi do przekonania, że jego ogólna nauka o popędach absolutnie nie da się utrzymać. Zresztą sam Freud powiada, że poglądy te nie opierają się na obserwacji, lecz że je sam „konstruuje“. Panseksualistyczne jego nastawienie opiera się na błędnem identyfikowaniu seksualności z każdem uczuciem przyjemnem. Nachmansohn podważa śmiało całą koncepcję infantylnej, pregenitalnej seksualności, dalej pojęcie uwznioślania (sublimacji) oraz znaczenie t. zw. „kompleksu-Edypa“ nie tylko już dla jednostki, ale także dla ludzkości całej. Szczegółowa analiza twierdzeń Freuda prowadzi do oddzielenia spostrzeżeń wartościowych od błędnych, a krytyk nie waha się nawet powiedzieć wprost: „Trzeba teraz mieć odwagę, odnośnie do Freuda, nazwać urojenia urojeniami, a nie genjalnemi intuicjami, które coprawda także znajdują się w jego pismach“ (str. 34). Zdziwienie nas ogarnia, gdy badacz o tak wybitnym uzdolnieniu psychologicznem jak Freud utożsamia pod względem psychologicznem różne popędy i przyjmuje tylko ich różność fizjologiczną jako następstwo różnego chemizmu. Przecież zanim cokolwiek już wiedziano o chemizmie, odróżniano psychologicznie zupełnie wyraźnie „głód“ od „miłości“. Cała psychoanalityczna teorja popędów, teorja narcyzmu, jakoteż n. p. podporządkowanie miłości rodzicielskiej pojęciu seksualności, nie wytrzymuje krytyki. Uwagi dotyczące teorji popędów kończy Nachmansohn konkluzją, że „nowe“ poglądy Freuda w tej dziedzinie nie dadzą się utrzymać, a inne nie są znowu nowe.

Jeśli chodzi o psychologję Freuda, to dowiadujemy się tutaj, że dwie podstawowe freudowskie zasady życia psychicznego, to znaczy zasada hedonizmu i realności, nie dają się pogodzić z rzeczywistością. Już Herbart przed Freudem wprowadził do psychologji pojęcie wypierania *(Verdrängung)* oporu i podświadomości. Zasługą zaś Freuda jest tylko, że pojęcia te zastosował z dobrym skutkiem w psychopatologji. Nauka o „wypieraniu“, musiała prędzej czy później, i to niekoniecznie w sformułowaniu freudowskiem zająć w psychologji i psychoterapji podobnie ważne miejsce, jak nauka o zakażeniu w genezie chorób, którym towarzyszy gorączka.

Teorja sennego marzenia Freuda stanowi punkt centralny w systemie psychoanalitycznym. Stwierdzono, że procesy psychiczne zachodzące podczas snu mają szczególną wartość dla poznania psychiki osobnika. Nachmansohn słusznie przyznaje, że wyzyskanie analizy sennego marzenia u Freuda należy do trwałych zdobyczy nowszej psychoterapji. Niemniej jednak i tutaj założenia jego teoretyczne nie zawsze są pewne i trafne. Freud widzi n. p. jedyne źródło marzenia sennego, jego powiedzmy, siłę popędową w życzeniu śpiącego. Otóż autor zauważa, że nie wszystkie marzenia senne posiadają charakter „życzeniowy“. Przychodzi w nich niejednokrotnie do głosu nie tylko to, co było tłumione na jawie, ale także element dyspozycyjny. Mamy przecież wiele snów, którym towarzyszą często uczucia przykre, a więc przeżycia niepożądane.

Symbolika sennego marzenia Freuda i jego szkoły da się zaatakować w bardzo wielu punktach. Trudno rozstrzygnąć, kiedy jakieś wyobrażenie należy brać dosłownie, a kiedy symbolicznie. To samo trzeba powiedzieć o dopatrywaniu się charakteru filogenetycznego w sennych marzeniach; jeśli odjazd koleją ma być symbolem śmierci, to na jakiej podstawie w tym wynalazku techniki nowoczesnej mamy widzieć ślady podświadomego życia człowieka przedhistorycznego?

Już Breuerowi udało się dawniej wynaleźć przy pomocy hypnozy metodę docierania do przeżyć wypieranych. Metoda ta pozwala lekarzowi zbadać strukturę i genezę chorób nerwowych. Ponieważ nie każdy pacjent daje się łatwo zahypnotyzować, dlatego Freud zastąpił sztuczne stany snu naturalnemi, czyniąc z analizy sennego marzenia główną metodę psychoanalityczną. Dzisiaj nie mamy jednak jeszcze zdaniem Nachmansohna, naukowej metody wyjaśnienia sennych marzeń. Jeśli zaś mimo to udaje się dotąd przy pomocy psychoanalizy wiele wydobyć z podświadomości pacjenta, zawdzięczamy to przedewszystkiem intuicji psychologicznej oraz zdolności wczuwania się psychoanalityka.

JAN BRONISŁAW RICHTER

[1]) M. Nachmansohn: *Die wissenschaftlichen Grundlagen der Psychoanalyse Freuds. Darstellung und Kritik.* Berlin 1928, str. 106.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazał się „Pamiętnik Koła Kielczan“ za r. 1928. Wydany w niewielkiej ilości egzemplarzy dla członków Koła jest do nabycia w kilku księgarniach warszawskich i u zarządu Koła (cena 6 zł.). Dwa razy większy od rocznika z r. 1927 zawiera w dziale historycznym rozprawy: „Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach“ Bol. Markowskiego, „Historja górnictwa żelaznego na północnem zboczu gór Świętokrzyskich“ prof. Jana Samsonowicza, „Życie umysłowe przed maturą“ Zygm. Wasilew-

skiego, oraz „Wspomnienie o muzyku Feliksie Jarońskim". Dział urzędowy poświęcony jest sprawom Koła Kielczan. Zasługuje tu na uwagę spis trzystu kilkudziesięciu żyjących wychowańców szkoły kieleckiej z podaniem ich karjery życiowej, oraz wstępny wykład o idei regjonalnej „Pamiętnika".

*

W drugiem już wydaniu ukazała się książka, która jeśli gdzie, to w „Myśli Narodowej", zasługuje przynajmniej na wzmiankę: „Sympozjon, wybór prozaików polskich wieku dziewiętnastego i dwudziestego". (Lwów—Warszawa 1928, nakładem „Książnicy-Atlasu"). Książka ta, którą zawdzięczamy uzdolnionemu pedagogowi i badaczowi, Stanisławowi Adamczewskiemu jest w naszej dzisiejszej literaturze pedagogicznej zjawiskiem jedynem w swoim rodzaju: oto po wielu latach (od czasu trzeciego tomu „Wzorów prozy" Rymarkiewicza) mamy nakoniec wypisy historyczno-literackie, zawierające w sobie tylko prozę. Jest to objaw oddawna już upragnionej reakcji przeciwko karmieniu naszej uczącej się młodzieży i miłośników literatury jedynie poezją i powieściami, na co skarżył się już kiedyś Stanisław Tarnowski. Że ta reakcja jest objawem zdrowym, dowodzić nie potrzeba: warto chyba poznać dzieje myśli narodowej, choćby zapomocą wypisów. Wyboru z prozaików polskich dokonał Adamczewski bardzo umiejętnie, a kierował się, jak wolno mniemać, dwoma kryterjami: oprócz prozaików, będących świetnymi stylistami, uwzględnił z pośród nich i kilku takich, którzy wprawdzie nie mogą sobie rościć prawa do wybitnych stylistów (jak np. autor „Charakterystyki romantyzmu"), ale których pisma (albo raczej urywki z pism) uznał za potrzebne do nauki historji literatury. Na szczególną uwagę zasługuje także bezstronność autora wypisów przy ich wyborze, co zwłaszcza wobec pisarzy współczesnych jest rzeczą tak rzadką.

W wydaniu drugiem dokonano pewnych zmian: pomiędzy innemi pominięto Staszica (zapewne jako myśliciela XVIII wieku, i Stanisława Krzemińskiego; dodano — bardzo słusznie — wypisy z pism Supińskiego, Dmowskiego, Kazimierza Twardowskiego i Boya.

Książka zasługuje w całej pełni na to, żeby się znajdowała w każdym domu polskim.

*

Niemal jednocześnie ukazały się wielkie dwie księgi jubileuszowe, poświęcone dwu wielkim językoznawcom i badaczom literatury ojczystej: prof. Brücknerowi i Łosiowi. Imponuje rozmiarami zwłaszcza pierwsza z nich, wydana nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej, a nosząca tytuł „Studja staropolskie". Spotykamy tu prace 37 uczonych, przeważnie historyków i polonistów (językoznawcy słabo są tu reprezentowani); na wyróżnienie szczególne zasługują studja: J. Dąbrowskiego „O kolebkę kultury polskiej" (gdzie dowodzi się — naprzekór Nitschowi — że język literacki i kultura obyczajowa polska wzięły początek z Małopolski), Grodeckiego „Zbigniew, książę Polski" (autor wykazuje, że pretensje starszego syna Władysława Hermana do tronu polskiego były całkiem uzasadnione), S. Kota „Jana Kodaszewskiego podróże i studja zagraniczne" (nowe materjały!) T. Sinki „Problemy Sępowe" (kwestjonujące autentyczność pewnych wierszy Szarzyńskiego), L. Bernackiego „Krasiciana", I. Chrzanowskiego „Idea mesjaniczna Woronicza". Bibljografja dzieł Brücknera obejmuje 1200 pozycyj... — Księga ku czci Łosia nosi tytuł „Prace polonistyczne" (wydane jako Tom XII Prac filologicznych nakładem Kasy Mianowskiego), a zawiera przewagę elementu językoznawczego (Baudouin de Comtenay, Doroszewski, Klich, Rozwadowski, Słoński i in.). W dziale historyczno-literackim spotyka się przeważnie te same nazwiska co w księdze Brücknerowskiej (Pollak, Krzyżanowski, ks. Fijałek, Gubrynowicz, Wędkiewicz, Kot). Na szczególną uwagę zasługują rozważania Kleinera o polskim rytmie jambicznym, Pigonia o „wystepnych książkach" (gramatyka Kopczyńskiego, potępiona przez osławionego Pelikana) i in.

*

Sporo książek ostatniemi czasy wydał Jerzy Bandrowski. Niektóre z nich już omówiono na tem miejscu, jak „Na polskiej fali" i „Zołojka" — dwie powieści mające na przedmiot polskie morze. Na baczną uwagę czytelników zasługuje też powieść „Krwawa Chmura", wydana świeżo przez Wydawnictwo Polskie; rzecz ta należy do najlepszych w dorobku Bandowskiego i wogóle w naszej literaturze powojennej. W czasie, gdy nagminnie szerzy się gadulstwo i bezsensowna patetyczność, miło wziąć do ręki powieść zbudowaną doskonale, spoiście i jędrnie, napisaną językiem prostym i bezpośrednim, nie silącym się na efekty. Tem większy za to efekt sprawia głęboka w swej prostocie akcja powieści. Treścią jej są dzieje tułacza-Chińczyka, którego podczas wojny europejskiej zagnały losy do stolicy carów, białokamiennej Moskwy, gdzie ten żółty człowiek przeobraża się w najmitę bolszewizmu. Zdumiewające jest bogactwo i plastyka obserwacyj autora, który podpatrzył (i jakże wiernie!) najtajniejsze szczegóły życia „kulisów" i „chodziów" zarówno na Wschodzie (był we Władywostoku i Szanghaju, jako reprezentant formacyj polskich wojskowych na Syberji), jak i na emigracji rosyjskiej. Z antopsji wzięte są opisy przebiegu rewolucji w Moskwie, zwłaszcza walki bolszewików z junkrami, Do zrozumienia istoty bolszewizmu ważnym przyczynkiem jest ta książka.

*

Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszła książka Henryka Potockiego „W krainie Massajów" z 31 ilustr. Str. 142. Jest to dziennik podróży, którą autor odbył wraz z żoną do wschodnio-afrykańskiej kolonji angielskiej Kenga, w celach myśliwskich. Zajęty głównie polowaniem, autor opisuje przedewszystkiem swoje — i żony swojej — przygody oraz czyny myśliwskie w krainie Massajów. Czytelnik znajdzie tu wierne odbicie tego, co autor tam „odczuł, słyszał, widział i przeżył" (słowa przedmowy), jako myśliwy. Wszystko to zostało opowiedziane z niezwykłą prostotą, bez przesadnych i szumnych frazesów w momentach bardziej wzruszających (polowanie na lwy i t.p.), ściśle i rzeczowo, chociaż żywo i barwnie w wypadkach, nie zwiększających nadmiernie bicia serca myśliwskiego. Równowaga uczuć łączy się u autora z dokładnością obserwacji i bezpretensjonalnością słowa. Dodać trzeba, iż słowo to jest wprawdzie niewyszukane, nie literackie, ale zato jędrne i dźwięczne, z ducha i wagi rdzennie polskie.

U SŁOWIAN

Wśród młodych poetów słowiańskich wybija się ostatnio zdolny poeta, żyjący w Koszycach Emil Rusko. Po kilku tomikach poezyj wydał ostatnio „symbol dramatyczny" w trzech aktach p.t. „*Plamene*" (płomienie). Maluje w tym dramacie walkę klasową robotników z fabrykantami, wykazując duży artyzm zarówno w scenach realistycznych, jak i w subtelnych fantazjach o idealnem urządzeniu stosunków społecznych. Dramat ma na celu wykazać, że tak nad światem „wyzysku" kapitalistycznego, jak doktryny socjalistycznej zwycięży idea miłości bliźniego i sprawiedliwość chrześcijańska. Szerzący ideały etyczne utwór o walce klas jest czemś nowem i oryginalnem, a zasługującem na uwagę w młodej jeszcze literaturze słowackiej.

*

Siódmy (wrześniowy) numer miesięcznika praskiego „*Slowansky Prehled*" poświęcony jest przeważnie jubileuszowi Tołstoja. Dotyczą tego artykuły: Indywidualność T. (A. Bem). Tragedja domu Tołstoiów (J. Hostovsky), Filozoficzno-historyczny maksymalizm T. (J. Slavik) — T. w Bułgarji (G. Konstantinow). Następuje stały przegląd politycznego i kulturalnego życia Słowian, za miesiące wakacyjne (w których „*Sl. Pr.*" nie wychodził). Konstatuje się tam (E. Janousek) dalszy wzrost i zacieśnienie się związków polsko-czechosłowackich. — Pierwsze trzy artykuły o wielkim pisarzu rosyjskim są b. zajmujące, wiele ciekawych szczegułów na tle pożycia rodzinnego przynosi artykuł drugi, w trzecim zaś J. Slavik przedstawia poglądy Tołstoja na historję.

TEATR

„PRZEDMIEŚCIE" F. LANGERA

Z LITERATURĄ czeską w przekładzie polskim spotykamy się rzadko, ale przypomniałem sobie podczas pierwszych odsłon „Przedmieścia" przez skojarzenie „Magdalenę" Machara, którą zdaje się w r. 1898 przełożyła Adam M-ski (Trzeszczkowska). Cenzura rosyjska wykreśliła tam ustępy drastyczne, epopea bowiem zbyt realistycznie potraktowała sceny w lupanarze. Tutaj, w „Przedmieściu" Langera bohaterką dramatu jest prostytutka, bohaterem apasz. „W to graj" — teatrowi Polskiemu, który ze swoich studjów nad „dziejami grzechu" chciałby, jak się zdaje, zrobić katedrę nauk socjalnych.

Owe tendencje dydaktyczne, czy agitacyjne teatru są bardzo charakterystyczne. Jak widać z afisza, on sam dorobił (piórem jakiegoś Wita) do obrazu obrzeża papierowe z deklamacją nastrajającą. Myśleliśmy sądząc z prologu, że to będzie dramat socjalno-bolszewicki, taki bowiem nacisk położył autor na grozę życia przedmieścia. Tymczasem sztuka sama poszła w innym kierunku psycho-analizy duszy jednostkowej. Szydło wyszło z worka, jak zawsze u p. Schillera.

Wracajmy jednak do autora. Wyobrażam sobie, że jest to umysł młodzieńczo literacki, poszukujący głębi metafizycznej i pragnący dowieść czytelnikom dzienników brukowych, że ją wszędzie znaleźć można, aby się tylko wczuć poetycko. Mógł przeczytać w dzienniku notatkę policyjną o śmierci architekta Urbana („tajemnicza śmierć "), albo coś z historji kelnera-tancerza. I wymyślił poemat.

Literaci czescy, mam wrażenie, chroniąc się od wpływów niemieckich, wpadają pod rynnę rosyjskich. Po samym fakcie wyboru środowiska można poznać metodę rosyjską szukania duszy kosmicznej, która jest tem prawdziwsza, im głębiej w nizinach społecznych spoczywa. Po co przekopywać nawarstwienia cywilizacji, skoro można znaleźć surowy materjał, bliższy prawdy przyrodzonej, będącej głosem głębin metafizycznych. Humaniści zachodnio-europejscy w poszukiwaniu prawdy dążą w górę, literatura rosyjska ciągnie zawsze w dół, gdzie też znalazł się teraz cały naród. Jeszcze głębiej od jakiejkolwiek niziny klasowej leżą odpadki społeczne, będące poza prawem i obyczajem — prostytutki, apasze. Ci są prawdy najbliżsi. Raskolnikow schodzi z wyżyn oświeconych do prostytutki Soni, aby w jej sercu szukać ciszy, jaką daje prawda.

Bohater Langera znajduje u przyjaciółki swoją atmosferę domową, ale tak samo kaja się publicznie, aby się nie zadławić tajemnicą bólu kosmicznego, który go męczy z powodu, że zabił człowieka.

Kładę nacisk na tę kosmiczność, bo nie jest to chrześcijańska reakcja sumienia. Nie widać, żeby Langer chciał dowieść tezy katolickiej o potrzebie spowiedzi. Niema wyjścia duchowego. Potrzebna mu nie pokuta, lecz kara fizyczna, usymbolizowana w kajdanach. Ponieważ tak się złożyło, że społeczeństwo odmawia mu tej satysfakcji, więc idąc za podszeptem jakiegoś sekciarza-mistyka (doktryna absolutnej sprawiedliwości), popełnia drugie morderstwo, aby osiągnąć zbawienie przez kajdany. Teorja zgoła mechanistyczna, bo gdyby w grę wchodziło istotnie sumienie, to bohater nie kłamałby przed władzami, zatajając szczegóły, i dostałby się do więzienia za pierwszy swój mord.

Takie literackie unaiwnianie literatury na zachodzie Europy świadczy o złym smaku twórców. Przyganialiśmy to samo naszemu Żeromskiemu, gdy zbytnio poddawał się efektownej suggestji rosyjskiego odczuwania duszy. Tylko oddziaływaniem atmosfery bolszewickiej ze wschodu można wytłumaczyć, że ten styl wydaje się jeszcze teraz literatom czemś frapującem.

Styl cywilizacji zachodniej jest katolicki, raczej gotycki — uciekający od błota w górę, odżegnujący się od widoków pospolitości, a cóż dopiero od widoków dzikości i upadku. To prowadzenie oświeconych bliźnich na sposób Gorkiego po „dnach" upadku, zwłaszcza uporczywe zabawianie życiem lupanarów uwsteczna nie tylko obyczaje, ale sztukę. Zwłaszcza gdy dla efektu robi się to w sposób naturalistyczny, na jaki nie pozwalał sobie jeszcze Dostojewski. Był to wielki pan w porównaniu z Gorkim. Ale skąd ta potrzeba poetycka u czeskiego Langera?

Za probierz tendencyj rozwojowych w pojęciach obyczajności uważać można sprawę płciową z jej skrajnym wykładnikiem kobiety upadłej. U Langera widzimy taką kobietę w 16 aktach i ani razu autor nie uczuł potrzeby poetyckiej pogłębienia jej duszy skrupułem etycznym. Nawet gdy każe się zamordować, nawet wtedy działa w niej tylko zwierzątko. Tu możnaby pomówić autora o poddanie się wpływom obyczajowości krajów protestanckich, gdzie prostytucja lekko jest tylko przysłonięta woalem przystojności, ale w pojęciach jest zlegalizowana jako zawód tak dobry, jak każdy inny. Kiedyś szatan przełamał obronność Małgorzatki, że oddała cnotę za perły, a potem już rzecz dzieje się bez jego udziału i bez wyrzutów sumienia. Obyczajowość się zreformowała w duchu racjonalizmu praktycznego. Tem się tłumaczy u Langera bezwstydliwość z jaką przedstawia sceny profesjonalne.

Nie chcę przez to powiedzieć, żeby autor „Przedmieścia" pisał tak wielką sztukę jedynie z pobudek stworzenia sensacyjnego i drastycznego widowiska. Gdyby tak było, mógłby ją poprowadzić efektowniej i w tańszy sposób. Owszem usiłował wcielić w dramat pewną koncepcję poetycką, która go widocznie interesowała. Chciał pokazac, że poza społeczeństwem, po tamtej stronie kordonu policyjnego, można odnaleźć dramat istnienia, którym kierują jakieś prawa kosmiczne, silniejsze od społecznych. Nie każde zabójstwo dokonywane jest tam dla zysku, nie każda upadła kobieta jest bez duszy, recydywa zbrodni wypływa też z jakiejś pokuty metafizycznej, są tam tęsknoty poetyckie i zarodki sztuk, jak muzyka, taniec, możliwość cywilizacji „poza dobrem i złem". Nie przekonał nas, bośmy się już dawno zdecydowali na typ życia, które rozwiązuje te zagadnienia w cywilizacji religijnej i społecznej. Nic innego na poczekaniu, zwłaszcza w teatrze nie wymyślimy. Czas już wielki w środku Europy z tym typem życia się pogodzić.

Przedstawienie było bardzo staranne. Być może w użyciu maszynerji scenicznej za dużo było przesady. Teatr chciał podnieść w ten sposób znaczenie sztuki, jako misterjum. W każdym razie prolog nie odpowiada treści i niepotrzebnie obciąża i tak długie widowisko.

Sposób oświetlania grających jest bardzo męczący dla widzów, a chyba straszniejszy jeszcze dla aktorów.

Pan Maszyński w każdej roli jest zawsze dobry. To pewna, że tylko on mógł utrzymać uwagę w napięciu tak długo. Bardzo ładnie grała p. Pancewiczowa, a szczytem gry artystycznej była postać p. Stanisławskiego.

Z. W.

SŁOMIANI WDOWCY HOPWOODA

WYSTAWIONA w teatrze Małym komedja Avery Hopwooda „Słomiani wdowcy" nie wymaga komentarzy literackich: obrazek rodzajowy w miarę zabawny, w miarę zgrabny, ale dostatecznie charakterystyczny dla dzisiejszej zamożnej Ameryki.

Kraj ten tak rozmiłował się w dużych zarobkach, że zaprzęga uczonych, aby tworzyli nowe systemy pracowania i umożliwili zrobić z ludzi maszyny. Pracować bez tchu, bogacić się. A potem co? Używać. Miljony pracują zawzięcie na to, aby kobiety miljonerów miały co rozrzucać. Hopwood próbuje zreflektować rodaków, że właściwie w ten sposób amerykanie cywilizacji nie stworzą. Co przyjdzie z pracy, która mogłaby być cnotą, gdy służy zbytkowi? Celem wszystkiego luksus, a koronuje go najkosztowniejsza zabawka kobieta. Hopwood przypomina Fredrę, ale nie przypomina jego czasów — ileż szlachetniejszech obyczajowol

Potrzeba wystawienia tej sztuki nie da się uzadnić. Rzecz swojska tej miary artystycznej wywołałaby gorzkie narzekania krytyki, a teatr podawałby się za ofiarę patrjotyzmu.

W.

ZMARLI

TADEUSZ ROZWADOWSKI

Zmarł w Warszawie 18 października jeden z najbardziej zasłużonych Ojczyźnie żołnierzy, generał broni Tadeusz Rozwadowski. W dziennikach znaleźli czytelnicy szczegółowy opis jego życia. Wziął udział w wielkiej wojnie jako generał armji austrjackiej, wysoko ceniony przez główne dowództwo i odznaczony. Przed 10 laty w październiku 1918 przybył na wezwanie Rady Regencyjnej do Warszawy i objął stanowisko dyrektora Komisji Wojskowej, szefa sztabu gen. i naczelnego wodza. Po rozbrojeniu Niemców broni Lwowa.

W r. 1919 brał udział w konferencji pokojowej w Paryżu, a powróciwszy do kraju należy do Rady Obrony Państwa i zostaje szefem Sztabu Gen. Były to czasy, kiedy znaczną rolę w organizacji naszej armji odgrywała misja francuska z gen. Weygand na czele, dająca oparcie jednostkom wybitnym. Od roku 1922 Rozwadowski był inspektorem 2-ej armji, a potem inspektorem kawalerji.

Była to niepospolita w armji indywidualność, wielki talent, reprezentantem był zachodniej cywilizacji i zachodniego pojmowania honoru. Człowiek rasowy w każdym calu. Polska wiele nadziei z nim wiązała.

Po maju 1926 r. aresztowany, pozostawał rok w więzieniu na Antokolu w Wilnie. Sprawy jednak sądowej nie doczekał się. Wypuszczony na wolność podupadł na zdrowiu, a teraz bawiąc przejazdem w Warszawie, nagle zachorował i umarł. Warszawa zaskoczona była pogrzebem. Skromnie też odbyła się eksportacja. Wzięła w niej udział młodzież akademicka, której przedstawiciel przemawiał nad trumną. Lwów zgotował swemu obrońcy manifestację narodową. Pogrzeb gen. Rozwadowskiego był momentem w duszy narodu wysoce dramatycznym niemego hołdu i ekspjacji. Naród miał do niego zaufanie.

Czasopismo „Szaniec" ogłosiło teraz (№ 20 z 15 października) artykuł śp. Rozwadowskiego, który uważać należy za jego testament. Oto ważniejsze urywki z tego artykułu p. t. „Problem dzisiejszej obrony państwa":

„Polska musi się liczyć bardzo poważnie z faktem że tak Niemcy dyszące żądzą odwetu i dążące nieustępliwie do rewizji granicy na wschodzie, jak też trawione koniecznością rozprzestrzenienia rewolucji Sowiety, w niedalekim już zapewne czasie znów będą starały się ją napaść. Nieustające wichrzenia litewskie, podtrzymywane przez Niemcy i Rosję, posłużą w każdej dogodnej chwili za pretekst do napadu na nas, a również może jakakolwiek czynna prowokacja litewska bardzo łatwo postawić nas w takiem położeniu, że my sami, wbrew naszym szczerze pokojowym zamiarom, będziemy zmuszeni chwytać za broń. W takiej chwili nastąpi prawdopodobnie odrazu jakieś ogromnie wyzywające *ultimatum* sowieckie, połączone z natychmiastowym napadem ich niezmiernie licznej kawalerji oraz setek samolotów, przygotowywanych już obecnie jak najintensywniej do tego celu i wyposażonych w bomby trujące, infekcyjne, mające zniszczyć zarówno nasze wojsko jak i ludność całą.

W międzyczasie zmobilizują Niemcy pod naciskiem Prusaków zupełnie spokojnie poważne siły wojskowe i gdy tylko uznają chwilę za do godną, zajmą raptownie korytarz Pomorski oraz nasze zagłębie Śląskie i basen Zawiercia; wówczas nie będą już może nawet potrzebowali rozpoczynać sami akcji zaczepnej w większym stylu, lecz wyczekają naszych posunięć, aby w najpełniejszem pogotowiu wyzyskać stosowną chwilę do głębokiej i energicznej kontrakcji.

Do tych bardzo prawdopodobnych przyszłych wydarzeń powinniśmy dostosować już dzisiaj nasze zarządzenia obronne.

Przygotowanie wielkich rezerw ludzkich, zapewniających przy mobilizacji dużą masę sił wojennych, jest i dzisiaj jeszcze koniecznością ze względu na możliwość dłuższego trwania wojny, a stanowi ono zawsze ostateczny środek obronny narodu przed zalewem nieprzyjacielskim. Lecz masy te powinny składać się wyłącznie z elementów fizycznie i moralnie zdrowych, zdolnych do patrjotycznego wysiłku nawet w obliczu bardzo ciężkiej i groźnej sytucji, gdyż wówczas właśnie przypadałaby im najważniejsza rola do odegrania. Z tego względu byłoby pożądane wykluczyć już zgóry od służby z bronią w ręku wszelki element narodowo i państwowo niepewny, gdyż w czasie ciężkiego kryzysu może on, mając broń w ręku, okazać się czynnikiem niezmiernie niebezpiecznym i dla własnego społeczeństwa.

W żadnym jednak razie nie mogą te masy ludzkie, będące właściwie tylko zmodernizowanem pospolitem ruszeniem, czyli ciałem ogromnie ciężkiem, stać się w obecnej sytuacji Polski czynnikiem wojskowo decydującym, gdyż mobilizacja i wcielenie do kadr chociażby najlepiej przygotowanych rezerw wymagać będzie zawsze conajmniej ośmiu dni, podczas których nieprzyjaciel już może dokonać dzieła zniszczenia całego państwa.

Armja w konstrucji dotychczasowej, mobilizująca stosunkowo powoli, odegra w wojnie przyszłości, a szczególnie w tej, która nam będzie lada chwila narzuconą, jedynie rolę późniejszą. Na pierwszej, najdonioślejszej fazie tej wojny, jako spóźniona choćby tylko o dni parę, zaważyć już nie zdoła.

Nie uczyni tego tembardziej żadna organizacja ochotnicza, w którym to kierunku robi się chwilowo zbyt wiele i w sposób raczej fantazyjny niż rzeczowy; a przeciwnie, powiększyć może ona jeszcze i tak dość poważne trudności mobilizacyjne, wytwarzając w nich chaotyczność. Nie mówię już, że w złych rękach, stać się może ona też wprost niebezpieczna dla tyłów armji narodowej.

Nowoczesna obrona państwa opierać się jednak będzie na czemś zupełnie odmiennem. Istotnym jej ośrodkiem stać się musi przedewszystkiem grupa wojsk specjalnych, w zupełności pierwszorzędnych, o wysokiem pogotowiu wojennem i bojowem.

Wiele czasu na to już obecnie nie pozostaje, a jeśli jedni uważają rok 1936-ty za ową niebezpieczną chwilę, to raczej termin wcześniejszy byłoby wskazane mieć przed oczyma i dążyć do jaknajrychlejszego stworzenia takiej armji całkiem nowożytnej, bez której byt i przyszłość cała Polski pozostawałaby ciągle pod wielkim znakiem zapytania".

JÓZEF KOTARBIŃSKI

Zmarły w Warszawie Józef Kotarbiński był artystą dramatycznym i pisarzem. Urodzony w roku 1848 w Lubelskiem, kształcił się w wydziale filozoficznym w Szkole Głównej jednocześnie z Sienkiewiczem, Świętochowskim, Chmielowskim. Obrawszy drogę literacką jako krytyk i publicysta, należał do przednich szeregów bojowników o pozytywistyczny sposób myślenia. Był współracownikiem „Niwy", „Przeglądu tygodniowego" i „Prawdy".

W 30-m roku życia wstąpił do teatru i tu zasłynął inteligencją gry, wspomagany doskonałemi warunkami fizycznemi, zwłaszcza głosu. Po Tadeuszu Pawlikowskim kierował sześć lat sceną krakowską, tam zbliżył się z Wyspiańskim. Zmarł jako emeryt teatrów rządowych w Warszawie.

Zostawił po sobie dzieła: „Aktorzy i aktorki", „Nie zdrowa miłość", „Pogrobowiec romantyzmu" (Wyspiański) i in, a w czasopismach wielką ilość rozpraw i artykułów.

Był prawym obywatelem, wyznawcą zdrowych zasad narodowych, człowiekiem czystym.

JÓZEF ŁUKASZEWICZ

W Wilnie zmarł prof. uniw. miejscowego Józef Łukaszewicz. Była to typowa postać wymierającego już pokolenia Polaków ze wschodnich rubieży, którzy swoje młodociane siły składali w ofierze ideałom rewolucji rosyjskiej, mianowicie walce z caratem. Łukaszewicz urodzony w Wileńszczyźnie 1863 r. ukończył wydział przyrodniczy w uniwersytecie petersburskim, kiedy go aresztowano za udział w spisku na życie Aleksandra III. Było to na wiosnę

1887 r., Łukaszewicz, słynący z wiedzy i zdolności uczeń Mendelejewa, sporządził swego pomysłu bombę. Spisek był udaremniony. Schwytano uczestników na ulicy, gdy przechadzali się w płaszczach, czekając na karetę cara. Aresztowani byli wtedy bracia Piłsudscy, stud. Generałow. Wkrótce aresztowano Łukaszewicza. Kilkuset studentów Polaków relegowano z zakładów naukowych.

Łukaszewicz był guwernerem w domu wpływowego generała; to uchroniło go od śmierci. Skazano go na dożywotnie więzienie. Do sfer wysokich Petersburga dotarły wieści o pomysłach naukowych Łukaszewicza, do których doszedł, studjując podobno rozwój pleśni na wilgotnych ścianach kazamaty. W 1905 zmieniono karę na zesłanie, a stąd powołano go do zajęć naukowych po 20 niemal latach kary.

Wojna zastała śp. Łukaszewicza na katedrze uniw. petersb. W r. 1917 zaraz po upadku caratu w miesięczniku (w paru zeszytach), specjalnie założonym do zbierania wspomnień o walce z caratem, Łukaszewicz opisał drobiazgowo, jak tę swoją bombę sporządził. To była cała jego satysfakcja, bo zasadniczej nie doznał, skoro (z powodu braku caratu) wkrótce uciec musiał z Rosji, aby życie swoje ocalić.

W Wilnie na katedrze geologji resztę lat w pracy naukowej spędził. Zostawił wiele prac naukowych w rękopisie. Z wielkiego dzieła „Życie nieorganiczne ziemi" zdołał wydrukować tylko tom III. Znane jest jego studjum „Czem jest życia biologiczne".

NOWE KSIĄŻKI

Żukiewicz Konstanty Marja. O. dominikanin. Rozmyślania o Matce Boskiej w świetle nauki św. Tomasza z Akwinu. Warsz. 1928. Księg. Kroniki Rodzinnej. S. 304.

Księgarnia Zakładu Nar. im Ossolińskich wydała:

Szmyd Gerard. Liturgika Katolicka. Z ilustr. i dodatkiem. Podręcznik szkolny.

Jankowski Wład. inż. Podręcznik radjoamatora. 244 ryc. Lwów 1928.

Suszyński Jerzy. Zawsze wielki. Na szańcach Lwowa. Poznań 1928. Bibljoteka wieczornicowa, nr. 29.

Skrudlik Miecz. dr. Z tajemnic „Klasztoru" płockiego (Zbrodni marjawitów w świetle dokumentów. Cz. II). Warsz. 1928.

Wierzyński Kazimierz. Utwory zebrane. Warsz. 1929. F. Hoesick.

Conrad Joseph. Tajfun wyd. II. Przekład J. B. Rychlińskiego. Warsz. 1928. Dom Książki Polskiej.

Firma Gebethnera i Wolffa wydała:

Quesnay Franc. Pisma wybrane. Przekł. Janiny Pietkiewiczówny. Bibl. Wyż. Sz. Handlowej.

Wilczyński Jan dr. Podręcznik biologji ogólnej. Dla 8 kl. gimn. Z ćwiczeniami.

Gartkiewicz Stan. Szczeżuja. Z 42 rys. Bibl. Biol.

Blank-Weissberg Stefan. Pływak. Z 24 rys. Bibl. Biol.

Bowkiewicz Jan. Rak. Z 40 rys. Bibl. Biolog.

Roux A. — Mellerowicz K. Livre de la France. Supplément au t. I.

Ateneum Kapłańskie. Włocławek, sierp.—wrzesień.

Iwański August. Pamiętniki, 1832-1876. Staraniem synów autora. Wydał i przedmową poprzedził Adam Czartkowski. Warsz. 1928. Nakładem Pomorskiej Drukarni w Toruniu. S. XVII i 260, portret.

Cywiński Stanisław. Juljusza Słowackiego Samuel Zborowski. Wydanie krytyczne. Opracował i wstępem poprzedził... Wilno 1928. Wydaw. Wydziału I Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie, nr. 1. S. 238 i 216.

Księgarnia Św. Wojciecha w Poznaniu wydała:

Akcja katolicka. Zbiór kazań wydan z p [illegible] nia J. E. ks. kardynała-prymasa Hlonda. S. 367.

Zacchi Angelo O. Spirytyzm i życie pozagrobowe. Przeł. z włoskiego W. B. S. 378.

Cathrein Wiktor T. J. Katolicki pogląd na świat. Tłumaczył ks. Adam Kuleszo. S. 611.

Kłos Józef ks. Mowy żałobne 1895—1924. S. 315.

NA MARGINESIE

„Zespół stu" we Lwowie dotychczas można było sobie wyobrazić tylko graficznie, jako dwa zera przy jedynce. Obecnie znamy już „program" tego ugrupowania. Prezes jego p. Domaszewicz opublikował swoją mowę inauguracyjną. Zespół stu „po wieloletniem dążeniu do prawdy" ustalił ideę, mianowicie jest już przekonany, że to, co kazało mu zerwać z obozem narodowym, a czego nie umiał sobie narazie uświadomić, jest niczem innem, jest duchem nowej epoki. Skończył się wiek partyj, a zaczął się wiek „państwowy", wiek „solidaryzmu i faszystowskiego przewrotu". Skoro to zespół zrozumiał, postanowił przejść do działania politycznego. Zespół stanął na gruncie przewrotu majowego, który „obalił (?) ustrój polityczny zgubny i zły". Jednak „Rewolucja majowa nie jest skończona" „Zespół będzie ją prowadził dalej". Będzie to rewolucja na rzecz państwa. „Niema bowiem miejsca na polityczne organizowanie społeczeństwa, gdyż społeczeństwo jest całkowicie zorganizowane w państwie i poza państwem nie istnieje"... i t. d.

Tak się dziwnie złożyło, że zespół stu „samodzielnie" tworzył ideologję, a wydzielina trąci Sanacją i masońską teorją St. Bukowieckiego. Tak się jakoś złożyło, że praca była ideowa, a wyniki są bardzo praktyczne...

*

W krakowskim „Głosie Narodu" (str. 284) p. W. Z. omówiwszy program Stronnictwa Narodowego i zgodziwszy się nagół z jego tezami, temi słowy określa zasadniczą różnicę pomiędzy Chrześćjańską Demokracją i Stronnictwem Narodowem:

> „Stronnictwo Ch. D. w oparciu o światowy program ruchu chrześcijańsko-społecznego będzie dalej rozwiązywało aktualne zagadnienia z punktu widzenia państwa polskiego, pojętego w duchu nauki Kościoła katolickiego. „Stronnictwo Narodowe" zaś stanie się ośrodkiem żywiołów, dla których „dobro narodu" jest najogólniejszą zasadą polityczną i filozofją".

Biedaczyna ten p. W. Z.! Myślał, myślał, jakby tu znaleść dla Ch. D. „najogólniejszą zasadę polityczną i filozofję", aż w końcu wymyślił... porwanie żywcem z obozu „sanacyjnego" „idei" przeciwstawiania Państwa — Narodowi! Panie Boże odpuść ten grzech przeciwko siódmemu przykazaniu! Wiadomo, z nędzy...

*

Ile kosztuje prasa sanacyjna? Wiadomo, że nie pracuje bezinteresownie, przeważnie całym ciężarem leży na funduszu publicznym. O rozmiarach dawek świadczy fakt świeżo ogłoszony że najbogatszy dziennik brukowy „Ilustr. Kurjer Codzienny, w Krakowie zabiega w śląskim urzędzie wojewódzkim o 16 stron artykułów płatnych po 4.000 zł. strona, łącznie za 64.000 zł. Żarłoczne gadziny!

*

Dziennik „Głos Prawdy" (nr. 288) ogłasza ogromnemi literami na pierwszej stronicy: „Jutro rozpoczniemy wielki konkurs... z 2 nagrodami po 500 zł. i 30 nagrodami po 100 zł." „Co trzeba zrobić by otrzymać nagrodę?"

— „Trzeba" — odpowiada „Głos Prawdy" — „bardzo uważnie przeczytać dokumenty, dotyczące zabójstwa"... i „...w przeciągu trzech dni od ukończenia druku tych dokumentów należy nadesłać do redakcji „Głosu Prawdy" odpowiedź na pytanie

KTO ZABIŁ?"

Przyznać należy, iż konkurs ogłoszony przez „Głos Prawdy" jest bardzo na czasie. Od roku zgórą opinja publiczna nieustannie szuka odpowiedzi na dręczące ją pytanie: „KTO ZABIŁ?" Pojawiają się coraz nowe hypotezy, rewelacje, dokumenty... Słowa „KTO ZABIŁ?" drukuje „Głos Prawdy" literami czerwonemi jak krew mordowanego...

*

Co jawne jest nieraz maluczkim, to bywa zakryte mędrcom Np. każdy uczeń klasy szóstej odróżnia już doskonale pojęcia deizmu i teizmu i wie, że racjonalizm w. XVIII opierał się na deizmie, gdy przeciwnie katolicyzm określamy jako teizm. Ale nie wie o tem prof. Jan Karol Kochanowski, który w swej książce o Polsce nawet Dantego nazywa deistą (str. 167) i wogóle chrześcijaństwo określa tak samo (str. 322, 328 i t. d.). Teraz zaś znów w sprawozdaniu posła Piaseckiego o konferencji B. B. w sprawie zmiany konstytucji, czytamy ze zdziwieniem, że wedle prof. K. „cechą psychiczną całej Słowiańszczyzny jest deizm(?!)" Czyż sanacja już sanuje świat pojęć filozoficznych? Dotychczas bowiem, jak np. głosi „Słownik języka polskiego", wyraz deizm oznaczał trzy pojęcia bliskie sobie jednak niezmiernie dalekie wyobrażeniom chrześcijańskim. Jest to: „1) doktryna jedynego Boga nieosobowego, poznawanego przez rozum; 2) wolnomyślna filozofja religji, teorja wolnomyślnych filozofów XVIII w.; 3) naturalistyczna filozofja religji przeciwna teizmowi". Ten ostatni bowiem określa wiarę w istnienie Boga osobowego i Jego opiekę nad światem. Cóż na to pan, panie profesorze Kochanowski?

TREŚĆ: Autograf *R. Dmowskiego* — Jak doszło do niepodległości *Z. Wasilewskiego.* — Powstanie i wojna *J. Rembielińskiego.* — Polska w oczach Zachodu *A. Nowaczyńskiego.* — Regnum Inferni *E. Ligockiego.* — Zaduszki *M. Wolskiej.* — Liberum Veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Rocznica; Sanacja i wychowania; Na Śląsku przed 25 laty *J. Hł.*; Z życia masonerji. — Przegląd polityczny *J. R.* — Nauka i literatura: Krytyka psychoanalizy Freuda *J. B. Richtera.*—Teatr *Z. W.*— Zmarli. — Nowe książki. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI   Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.   PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM